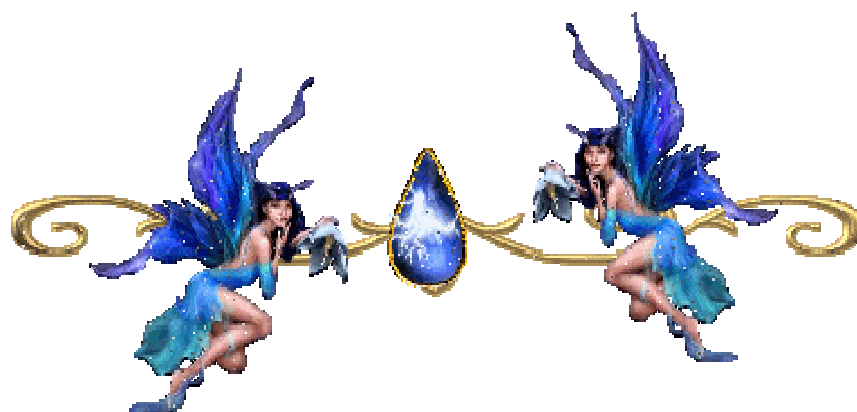




**SUSAN CHATFIELD**



**ZUPEŁNIE  
JAK W BAJCE**

## ROZDZIAŁ 1

Wielkie litery z kutego mosiądzu nie pozostawiały wątpliwości, kto rezyduje za imponującymi drzwiami. „Banyon International Airlines”, przeczytał siwowłosa mężczyzna, ubrany w szyty na miarę granatowy garnitur. Po chwili wahania wszedł zdecydowanie bez pukania.

Zaskoczona sekretarka podniosła wzrok znad sterty papierów na biurku, potem uśmiechnęła się do niego.

- Doktorze Hanson, jak to miło znowu pana widzieć. Naprawdę się cieszę, że tym razem odwiedza nas pan w mniej nieszczęśliwych okolicznościach.

Matthew Hanson uśmiechnął się i wtrącił, zanim zaczęła mówić dalej; - Czy jest Corey, pani Carr? Dzwoniła do mnie dziś rano i zaprosiła mnie na obiad. Naturalnie nie przepuszczę okazji, by skorzystać z zaproszenia od tak ładnej młodej damy, zwłaszcza jeśli tej młodej damie pomogłem przyjść na świat. - Zaśmiał się cicho.

Pani Carr dostrzegła błysk w jego ciemnobrązowych oczach. Skinęła i uśmiechnęła się. Potem wcisnęła przycisk interkomu na biurku. Po chwili odezwał się łagodny kobiecy głos: - Co się znowu dzieje, Emily? Powiedziałam przecież, że chcę chwilę odpocząć po tej długiej konferencji dzisiaj rano. Z pewnością kierownicy działów mogą raz podjąć swoje decyzje beze mnie. - Na chwilę przerwała, a potem powiedziała ze słyszalnym rozbawieniem w głosie: - Za co w końcu płacę te horrendalne pensje?

Pani Carr spojrzała na doktora Hansona i uśmiechnęła się przepraszająco. - Przykro mi, Corey - powiedziała do mikrofonu. - Wiem, że jest pani zmęczona, ale prosiła mnie pani o informację natychmiast, gdy przyjdzie doktor Hanson.

Trwało to chwilę, zanim pojawiła się odpowiedź, i wydawało się, że głos brzmi ostrożniej, jakby znowu pod kontrolą. - Proszę wpuścić wujka Matta, a potem proszę dowiedzieć się w kontroli lotniska, czy 727 jest gotowy do przelotu do Denver. I... Emily...

Emily Carr westchnęła głęboko, a potem ponownie wcisnęła przełącznik interkomu. - Tak, panno Banyon? - spytała uprzejmie, jakby rozumiała tę nieznośną presję, pod jaką znajdowała się w ostatnich dniach jej szefowa.

Corey zawahała się, potem odchrząknęła. - Przykro mi, że tak panią w ostatnich dniach obciążałam, Emily. Jest pani jedyną osobą w tej firmie, na którą mogę się zdać, gdy nie ma mnie tutaj, jedyną, która podczas mojej nieobecności może prowadzić firmę, i właśnie na pani wyładuję wszystkie moje humory i frustracje. Co ja bym bez pani zrobiła?

Pani Carr uśmiechnęła się, a potem zaśmiała głośno. - Co za bzdura. Przecież pani nazywa się Banyon! A teraz weźmie pani dawno zasłużony urlop i za miesiąc wróci wypoczęta. Niech się pani odpręży, moje dziecko, i ciesz się urlopem. Nie może pani kierować bez chwili wytchnienia taką firmą, nie płacąc za to zdrowiem!

Matthew Hanson odwrócił się, marszcząc czoło. Rozmowa, której właśnie był świadkiem, zaniepokoiła go głęboko. Pani Carr skinęła mu i wskazała drzwi po swojej prawej stronie. Podszedł do nich z wahaniem. Z jakim napięciem brzmiał głos Corey, zupełnie jakby to nie była ta Corey, którą znał. Na pewno pracowała za dużo, musi ją upomnieć. Gdy wyciągał rękę w stronę klamki, wróciły wspomnienia przeszłości i zobaczył Corey znowu jako dziecko.

Bill Banyon, ojciec Corey, zaczął właśnie tworzyć w Colorado swoją małą spółkę lotniczą, gdy jego młoda żona straciła życie w wypadku na nartach. Wtedy on i Matthew Hanson stali się dobrymi przyjaciółmi. Corey miała wówczas dopiero dwa lata i nigdy nie widziano Billa Banyona bez niej. Zawsze podążała w ślad za swoim, ukochanym ojcem.

Bill nauczył ją wszystkiego, co musiała wiedzieć, by prowadzić małą spółkę lotów czarterowych. A kiedy zyski stały się większe, uczyła się od niego rozbudowywania spółki. Wkrótce była to jedna z największych międzynarodowych spółek lotniczych.

Ale Corey nie była zadowolona z tego, że pracuje jedynie przy biurku. Chciała także umieć pilotować samoloty, które posiadała spółka.

Ojciec zaangażował najbardziej wymagającego nauczyciela, jakiego mógł znaleźć, Dana Taylora. Przy nim uczyła się szybko i w wieku zaledwie szesnastu lat zdobyła sobie respekt w składającej się wyłącznie z mężczyzn ekipie. Ceniono ją za inteligentne pytania, ożywczy humor i zdecydowanie, by nauczyć się wszystkiego, co się da.

Młodszy mężczyźni w spółce podziwiali jej wygląd. Corey była niska i drobna, żywotna i pełna energii. Jasne włosy okalały jej szczupłą twarzyczkę, wielkie, ciemne oczy patrzyły czujnie, a mimo to można było w ich głębi odkryć szelmowski błysk.

Starszy pracownicy, którzy byli w firmie od dwudziestu lub więcej lat, mieli jeszcze inne określenie na ten wicher, jak ją powszechnie nazywano. Dla tych ludzi była po prostu córką Banyona i w ich oczach nie mogła popełnić żadnego błędu.

Jakże szybko minął czas. Gdy Corey miała dwadzieścia lat, jechała razem z ojcem przez lotnisko do hangaru, by obejrzeć nowy 707, który jej ojciec

właśnie kupił. Za kierownicą Bill Banyon doznał śmiertelnego zawału serca, a samochód na pełnym gazie uderzył w halę z blachy stalowej.

Siła uderzenia wyrzuciła Corey z samochodu, dziewczyna doznała złamania czaszki.

Matthew ściągnął prawie wszystkich znanych neurochirurgów, ale odpowiedź była zawsze taka sama. Odprysk kości utkwiał w pobliżu nerwu wzrokowego Corey... zbyt blisko, by można było operować. Chwilowo nic jej nie groziło, jeśli odprysk nie zacznie się przemieszczać. Gdyby jednak zdecydowano się na operację, nie było gwarancji, że nerw wzrokowy nie zostanie przy tym uszkodzony, z tym skutkiem, że Corey musiałaby oślepnąć.

Corey była jednak zdecydowana prowadzić dalej takie życie, do jakiego była przyzwyczajona, i to właśnie oświadczyła doktorowi Han-sonowi. Zajęła miejsce ojca w przedsiębiorstwie, bo była mu to winna i do tego przecież ją przygotował. W końcu przekonała także Hansona, że praca jest prawdopodobnie najlepszą terapią w celu przezwyciężenia bolesnej straty.

Corey zagrzebała się w pracy, nie miała już czasu na rozmyślenia. Ze wszystkich sił zaangażowała się w przedsiębiorstwo ojca, od ludzi wokół siebie wymagała dokładnie tyle, co od siebie samej. Ale zawsze starała się być miła i uprzejma, uwzględniać także interesy pracowników, bo oni byli teraz jej rodziną. I im bardziej troszczyła się o to wszystko, co toczyło się wokół niej, tym mniej miała czasu na zastanawianie się, co by się stało, gdyby ten drobny odprysk kości w jej głowie pewnego dnia się poruszył, a ona straciłaby wzrok. I przez cały ten czas Dan Taylor stał u jej boku jako partner i wspólnik w spółce.

Z tymi niepokojącymi myślami doktor Hanson otworzył drzwi i wszedł do biura szefa Banyon International Airlines, panny Corey Elizabeth Banyon.

Ciepły, serdeczny uśmiech wypłynął na jej twarz, gdy wstała i przeszła przez duży pokój, by powitać Matthew. Gruby, biały dywan tłumiał jej kroki.

- Dziękuję ci, że tak szybko przyszedłeś, wujku Matt. Myślałam o tobie i uznałam, że najwyższa pora wyciągnąć cię z twego dusznego biura. Zapraszam cię na obiad. Gdzie chciałbyś pójść?

Objęła go i pocałowała w policzek. Zaśmiała się, gdy przycisnęła ją do siebie z pomrukiem zadowolenia. Potem odsunął ją od siebie, przyjrzał się badawczo jej twarzy i ceniom pod oczami, i zmarszczył czoło.

- Corey, wyglądasz, jakby... - Przerwał mu głośny dzwonek telefonu, a Corey odwróciła się szybko, by podnieść słuchawkę. - Ratunek w ostatniej chwili - szepnęła, zakrywając ręką mikrofon.

Matthew znowu zmarszczył czoło, usiadł na kanapie i czekał.

- Tak, Emily? - spytała spokojnie, odwracając się do Matthew plecami.

- Przykro mi, że znowu muszę pani przeszkodzić, panno Banyon. Ale chciała pani rozmawiać z Boeingiem. Pan Hexler jest przy aparacie, będzie pani z nim rozmawiać?

- Tak, chętnie. - Corey przycisnęła przełącznik telefonu.

- Panie Hexlert jak to miło, że pan tak szybko oddzwonił. Wybieram się na urlop, przez następny miesiąc będę nieosiągalna. Mimo to chciałabym panu już dzisiaj złożyć ustne zlecenie na 767. Ze względu na moją nieobecność Dan Taylor podpisze umowę kupna, ma wszelkie pełnomocnictwa. - Corey słuchała przez chwilę, a potem skinęła energicznie, a jej włosy załśniły przy tym ruchu jak czyste srebro.

- Zgadza się. Weźmiemy sześć sztuk, po czterdzieści dwa miliony za sztukę. Rozmawiałam dzisiaj rano z moimi technicznymi doradcami i jesteśmy zgodni. Dobrze, zlecę więc Danowi i mojej sekretarce, by uregulowali z panem wszystkie pozostałe sprawy. Tak, świetnie. Nie ma za co. Mnie też to bardzo cieszy. Nasze obie spółki z pewnością skorzystają na tym interesie. Dziękuję za telefon, panie Hexler. Do widzenia. - Odłożyła słuchawkę i usiadła na brzegu biurka. Z namysłem patrzyła przed siebie, myśli goniły jedna drugą. Teraz już załatwiła wszystko. Ciche pokasywanie za plecami wyrwało ją z zamyślenia.

- Wydaje się, że rzeczywiście chcesz wziąć urlop. Chyba już najwyższa pora. Dokąd chcesz się wybrać? - spytał Hanson.

Corey spuściła wzrok, wstała i przeciągnęła się. - Do Denver. Pomyślałam, że wpadnę do Dana i Maggie na kilka dni, a potem wynajmę samochód i obejrzę sobie okolicę.

- Ale dlaczego Emily zabukowała dla ciebie lot? Przecież zawsze pilotujesz sama. I skąd ten nagły urlop? Niepokoi mnie też, że tak źle wyglądasz, młoda damo. Minał ledwie miesiąc, odkąd cię ostatni raz widziałem, i nie miałaś wtedy tych ciemnych sińców pod oczami. Poza tym schudłaś. A wiec, co z tobą? - Spojrzał na nią zatroskany.

- Ależ sypiesz komplementami - próbowała się wykręcić, a potem szybko się odwróciła.

- Nigdy nie byłam w stanie cię oszukać, prawda? - spytała ochrypłym głosem. - Nie przesłam wczoraj przez badanie zdolności do latania.

Matthew podniósł wzrok, zaalarmowany. Bez tego badania Corey nie mogła pilotować samolotu, wiedział o tym. I tylko specjalnie do tego wyznaczony lekarz mógł przeprowadzić to badanie.

- Dlaczego? - zapytał cicho i spojrzał na nią współczująco. Corey wzruszyła ramionami, odwróciła się w jego stronę i wyzywająco uniosła brodę.

- Nie tak łatwo mi mówić ci o tym. Nie mówiłam nic wcześniej, bo nie chciałam, żebyś się martwił. Od niedawna mam coraz częściej bóle i zawroty głowy. Myślałam, że jestem przepracowana, i nie przywiązywałam wagi do tego wszystkiego. Ale wczoraj po badaniu doktor Milier oświadczył mi, że nie może odnowić mojej licencji, bo za oczami utworzył się obrzęk. Najwidoczniej odprysk kości zaczyna się przemieszczać. Muszę więc jechać do Denver, bo mam tam jutro wizytę u neurochirurga. Zrobi mi tomografię, prześwietlenie i jeszcze kilka innych badań. A jeśli testy wypadną pozytywnie, będzie mnie operować. To brzmi bardzo prosto, nie sądzisz? - spytała z cynicznym uśmiechem.

- Ale kto cię będzie operować? Przecież już próbowaliśmy znaleźć kogoś, ale nikt nie chciał ryzykować.

- Jest ktoś taki - odparła Corey cicho. - Przyjaciel doktora Millera. Gdy miałam wypadek, nie było go w kraju, ale on jest najlepszy.

Wyspecjalizował się w szczególnie trudnych przypadkach. Doktor Miller mówi, że on jest trochę nieprawowierny, inni nazywają go odludkiem, ale to jest mi obojętne. Mnie obchodzi tylko to, że jest najlepszy.

Matthew opadł na fotel. - Jakże on się nazywa, ten chirurgiczny odludek?

Corey podeszła do niego, potem przytknęła palce do ust i zachichotała; jej oczy rozszerzyły się z zaskoczenia. - Nie mogę w to uwierzyć, ale naprawdę zapomniałam, jego nazwisko. Byłam tak przerażona, że po prostu zgodziłam się na wszystko, co doktor Miller powiedział. Spójrz tylko na mnie. Kobieta, która kieruje tak dużą spółką, która jest znana ze swego zmysłu do interesów i chłodnej głowy, nie może sobie przypomnieć, jak nazywa się mężczyzna, który ma w ręku jej wzrok. - Podniosła ręce w geście rozpacz. - Ale to jest obojętne. Jutro go poznam. Jego zespół pracuje aktualnie w Denver, dzisiaj po południu tam lecę.

- A co z firmą? Czy mówiłaś to serio, że Dan ma cię zastępować? Czy on i Maggie wiedzą o tym wszystkim?

- Corey usiadła obok Matta i złapała go za rękę. - Nie, ani Maggie, ani Dan nie znają prawdziwego powodu mojej podróży do Denver. Nie chciałabym, żeby się martwili, być może nie ma do tego żadnego powodu. Tak, Dan ma mnie w tym czasie zastępować. Potrzebuję czasu, żeby dojść do siebie, a dopóki nie stanę z powrotem na nogach, Dan może zatroszczyć się o

wszystko. Wiem, że on woli siedzieć za sterami samolotu, ale dla mnie to zrobi, mnie jeszcze nigdy niczego nie odmówił.

Teraz Matthew Hanson musiał się roześmiać. - Potrafisz owinać sobie każdego mężczyznę wokół palca i dobrze o tym wiesz. W końcu robisz to już od dwudziestu ośmiu lat. Brakuje ci, młoda damo, męża. Potrzebujesz kogoś, kto dla odmiany powiedziałby tobie, co masz robić!

Z uporem uniosła brodę. - Mnie jeszcze żaden mężczyzna nie mówił, co mam robić! Przez wszystkie te lata sama podejmowałam decyzje i mam zamiar za miesiąc znowu usiąść przy tym biurku i podjąć pracę tam, gdzie ją przerwałam. Ja zrobiłam z tej spółki to, czym jest teraz, i nie mam zamiaru przestawać. Nie potrzebuję męża, który będzie podejmować za mnie decyzje i mówić mi, co mam robić, wielkie dzięki. Znam mnóstwo podniecających mężczyzn, ale zakocham się dopiero wtedy, kiedy będę do tego gotowa, a więc przestań mnie swatać, wujku Matt - zaśmiała się filuternie.

RS



## ROZDZIAŁ 2

- Ban yon International Airlines lot 521 do Denver w stanie Colorado. Pasażerowie z poczekalni w przejściu numer siedem proszeni są na pokład - przez głośniki lotniska rozbrzmiał bezosobowy głos.

Corey skrzywiła twarz ze znużeniem. Tak często słyszała te zapowiedzi. Zapaliła papierosa i chodziła niespokojnie w tę i z powrotem po poczekalni. Pasażerowie wstali z miejsc i ustawili się gęsiego do samolotu 747, który czekał na nich na zewnątrz. Corey porozmawiała krótko z Da-nem Taylorem, który pilotował dzisiaj samolot. Ucieszył się, że Corey chce przenocować u niego i jego żony Maggie. Nie wiedziała, czy zauważył, jaka jest zmęczona i spięta, w każdym razie nie dał nic po sobie poznać. Corey Banyon była nie tylko jego partnerką w interesach - dla niego i jego żony była jak córka i wiedział, że w ostatnim okresie pracowała szczególnie ciężko. Może zwierzy się wieczorem Maggie, pomyślał.

Corey Banyon wprowadziła wiele zmian i ulepszeń w spółce po śmierci ojca. Jedną z nich podziwiała właśnie teraz. Rozejrzała się po poczekalni, której kolory - kremowy, bladożółty i biały - dawały pasażerom Banyon Airlines uczucie spokoju.

Przecięgnęła palcem po oparciu fotela. Sama mogła teraz ocenić pozytywny rezultat zmian.

Ale nagle Corey zmarszczyła czoło, gdy pomyślała o tym, że być może za kilka dni nie będzie już mogła tego widzieć. Szybko zgasła papierosa, który nagle przestał jej smakować, potem podniosła wzrok, bo poczuła, że jest obserwowana. Z drugiego końca poczekalni obserwowała ją para błękitnych oczu.

Jak czuła pieszczota spojrzenie prześliznęło się przez jej tułów, piersi, w górę na szyję, gdzie pulsowała gwałtownie mała żyłka, a potem "na jej twarz - na wargi, które teraz drżały gniewnie, i na oczy, które rzucały gniewne błyski. Corey była zdziwiona, że te najwidoczniej pełne podziwu spojrzenia ciemnowłosego mężczyzny mogły ją tak rozzłościć, zdziwiona i jednocześnie bezsilna. Zacisnęła wargi i zmarszczyła ze złością czoło, potem odwzajemniła jego badawcze spojrzenie, próbując rozpaczliwie nie stracić nad sobą kontroli.

Na mężczyźnie siedzącym w drugim końcu sali jej gniewne spojrzenia zdawały się nie robić żadnego wrażenia. Tak, wydawał się nawet rozbawiony. Jego błękitne oczy błyszczały, teraz wydawały się niemal zielone, gdy patrzył, jak Corey obserwuje go ze złością. Niedbale założył nogę na nogę i zwróciła uwagę na jego drogie kowbojskie buty. Ciemnobrązowy materiał jego ubrania



też był drogi, a samo ubranie w westernowym stylu było z pewnością uszyte na miarę.

Cienkie linie wokół jego oczu i pełnych ust o lekko aroganckim wyrazie zdradziły jej, że zapewne ma już około trzydziestu pięciu lat. Zaszło jej w gardle, gdy obserwowała jego usta, które z pewnością umiały namiętnie całować. Mężczyzna wyglądał tak, jakby mógł się bardzo rozzłościć, gdy się go sprowokuje, i na pewno był absolutnie bezwzględny w swoim gniewie. A mimo to Corey uznała, że ma on także poczucie humoru. Jakby zgadując jej myśli, skrzywił usta, starając się ukryć uśmiech rozbawienia.

Słońce wpadające przez duże okna igrało w jego czarnych jak ogień włosach powodując, że lśniły one niebieskawo. Gdyby Corey była ze sobą szczerą, musiałaby przyznać, że jego twarz jest interesująca, ale była zdecydowana nie dostrzegać w tym mężczyźnie niczego, co mogłoby się jej spodobać. Najwidoczniej był on w pełni świadomy swojej męskości i seksualnego oddziaływania na kobiety, ale nigdy nie przyznałaby, że na nią też działa.

Poczekalnia już opustoszała, najwidoczniej byli ostatnimi pasażerami. Corey pragnęła, by ten obcy usłuchał wezwania personelu naziemnego i natychmiast poszedł na pokład, ale on siedział nadal i pafrzył na nią z rozbawieniem, jakby dokładnie wiedział, że ją tym rozwściecza.

Nagle Corey poczuła znowu tępy ból w głowie, znowu też pojawiły się zawroty. Przed tymi objawami ostrzegał ją neurolog, a w ostatnich dniach zdarzały się one coraz częściej. Naprawdę nie mogę już dłużej czekać, pomyślała i szybko wstała. Gdy pochyliła się, by podnieść torbę, kapelusz spadł jej na podłogę, a włosy rozsypały się po twarzy. Corey chciała złapać kapelusz, ale spadły jej przy tym okulary przeciwsłoneczne.

- Do diabła! - mruknęła ze złością i pochyliła się, by pozbierać rzeczy. Prawie w tym samym momencie duża, silna dłoń przykryła jej palce i wręczyła okulary i torbę.

Mężczyzna stał tak blisko niej, że dotykał nogami jej pochylonych ramion. Jego obecność wprawiała Corey w zmieszanie, w ustach jej zaszło i czuła dziwny ucisk w żołądku. Próbowwała wziąć się w garść i zignorować głośnie bicie serca. W ogóle nie słyszała, jak mężczyzna przechodził przez salę, by do niej podejść.

Szybko wyprostowała się i spojrzała na niego. Jej głos brzmiał ochryple i jąkała się jak pensjonarka.

- Dziękuję... już sama dam sobie radę... - Drżącymi palcami chwyciła kapelusz.

- Z pani wypowiedzi wnoszę, że uważa się pani za „wyemancypowaną” kobietę, a pani spojrzenia mówią mi, iż sądzi pani, że ja jestem typowym szowinistą. - Jak głęboko brzmi jego głos, stwierdziła Corey ze zdziwieniem, ale błyski rozbawienia w jego oczach jeszcze bardziej ją rozzłościły. Uśmiechnęła się z trudem.

- Dotąd doskonale dawałam sobie radę sama, a jeśli będę potrzebować pana pomocy, to o nią poproszę. Poza tym w tej chwili nie mam ani czasu, ani zamiaru rozmawiać z panem o aspektach ruchu kobiecego. Jeśli więc mógłby mi pan dać mój kapelusz... nie chciałabym doprowadzić do tego, że spóźni się pan na samolot.

Stał przed nią w milczeniu, jego błękitne oczy patrzyły na nią lodowato. Wydawało się, jakby próbował stłumić wybuch wściekłości. Był wyższy niż myślała i musiała zadzierać głowę, by spojrzeć mu w twarz.

Wręczył jej kapelusz i przyglądał się, jak go wkłada na głowę. Jego złość najwidoczniej zaczęła znowu ustępować miejsca rozbawieniu. - Przykro mi - powiedział cicho. - Nie chciałem się pani narzucać, ale przywykłem do pomagania damom. Tam, skąd pochodzę, jest to oczywiste. - Gdybyż wreszcie zostawił mnie w spokoju, pomyślała Corey i próbowała go po prostu zignorować. Irytowało ją, że stał przed nią ze skrzyżowanymi na piersiach rękami i przyglądał się, jak wkłada kapelusz.

- Dlaczego, do diabła, skrywa pani swoje piękne oczy za czymś tak śmiesznym? - Jego głęboki głos przeszedł w szept, a Corey poczuła, że głęboki rumieniec występuje jej na policzki. Rozejrzała się szybko dookoła. Poczekalnia wypełniała się powoli pasażerami oczekującymi na następny lot.

Nie wiedziała, co powinna odpowiedzieć na jego uwagę, i to ją jeszcze bardziej rozzłościło. Ale po prostu musi mieć ostatnie słowo, pomyślała, nawet jeśli rozum podpowiadał jej, że powinna pójść na pokład i po prostu zignorować tego obcego z jego zmysłowym spojrzeniem.

- Czy nie spóźni się pan na samolot? - spytała słodkim głosem.

- Wiecznie nie będą na pana czekać. - Podniosła głowę i spojrzała na niego niewinnie.

- Sądzę, że warto by było - stwierdził spokojnie, a jego wzrok prześliznął się po jej ciele, zatrzymując się na jej gwałtownie wznoszących się i opadających piersiach.

- Wątpię! - Odwróciła się, gdy bolesne świdrowanie w jej głowie się nasiliło. Corey zobaczyła, jak podchodzi do niej urzędnik zajmujący się odprawą pasażerów, zaniepokojony zwłoką. Pilot poinformował go, że nie może dłużej czekać, ale że brakuje jeszcze panny Banyon.

Gdy jej mimowolny towarzysz go zauważył, przerwał rozmowę i zwrócił się do niego. Jego spojrzenie zmieszało młodego urzędnika.

- Czy mógłby pan wejść na pokład? - spytał nieśmiało. - Lot do Denver został już zapowiedziany.

Corey spojrzała ze złością na urzędnika; jego brak zdecydowania rozzłościła ją i oczy błyszczały jej gniewnie. Obcy uśmiechnął się lekko i skinął urzędnikowi.

- Ależ oczywiście. Przykro mi, że musieli państwo czekać. Zaraz idziemy na pokład.

- Nie - sprzeciwiła się, zanim była w stanie zastanowić się, co mówi. Jeszcze nie rozprawiła się z tym mężczyzną, To nie był przeciętny facet, był autorytarny, a ją złościła jego pewność siebie i arogancja. Przestraszyła się, że tak gwałtownie na niego reaguje, przecież wcale go nie zna. Ale nie czuła do niego sympatii, nawet jeśli nie mogła zaprzeczyć, że jego męskość ją pociąga. Był tak cholernie pewny siebie, a to ją niepokoiło.

Nagle kłujący ból przeszył jej głowę. On musiał to dostrzec w jej oczach, bo pochylił się do niej. - Czy pani dobrze się czuje? - spytał zatroskany.

- Naturalnie, czuję się dobrze - odparła szybko, - Przynajmniej czułam się dobrze, zanim pan zaczął mi się naprzykrzać.

Zaśmiał się i pochylił się nad nią, gdy usiadła. - Wydaje mi się, jeśli dobrze sobie przypominam, że to pani mi się naprzykrzała - szepnął łagodnie. - Ja po prostu siedziałem i podziwiałem widok! - Nie umknęła jej uwagi dwuznaczność jego słów.

Corey zacisnęła pięści. Najchętniej uderzyłaby go, tak była bezsilna i wściekła. - Jaka szkoda, że właśnie mnie pan sobie wyszukał - stwierdziła zgryźliwie. - Jestem pewna, że z pańską taktyką ma pan szanse u większości kobiet. Ale ja nienawidzę flirtów, więc niech pan lepiej zostawi mnie teraz w spokoju.

Gdy spojrzała na jego twarz i zauważyła ironiczny uśmiech, uświadomiła sobie, że jej słowa nie zrobiły na nim żadnego wrażenia. Wziął swoją torbę, a potem jeszcze raz odwrócił się do niej. - Jaka szkoda. Chętnie znalazłbym się w pobliżu, gdy pani odkryje, ile namiętności kryje się za całym tym lodem, którym pani się otoczyła. Jeśli tylko byłaby pani gotowa zdobyć się na odwagę, szybko odkryłaby pani, jaką jest zmysłową kobietą... i założę się, że to by się pani spodobało!

Dotknął jeszcze raz kapelusza, a potem odszedł w kierunku wyjścia. Corey patrzyła za nim, jak idzie kocim krokiem, i zadała sobie pytanie, czy on będzie podróżować pierwszą klasą.

Westchnęła i przysłoniła dłonią bolące oczy, w których paliły ją łzy złości. A jeśli ten neurochirurg jeszcze nie przyjechał do Denver?

- Panno Banyon? - Zdenerwowany głos urzędnika przebił się do jej świadomości. Szybko włożyła okulary przeciwsłoneczne, światło drażniło jej oczy. Uśmiechnęła się i pozwoliła zaprowadzić się do samolotu. Chociaż źle się czuła, chętnie powiedziałaaby jeszcze parę słów do słuchu temu obcemu mężczyźnie i poinformowałaaby go, z kim ma do czynienia. Jeszcze nigdy nie zdarzyło się, by ktoś tak z nią rozmawiał i uszło mu to bezkarnie. Wiedziała, że samolot nie odleci bez niej. Pilot wymyśli już jakieś usprawiedliwienie opóźnienia dla pasażerów.

Nie wiadomo z jakiego powodu, Corey chciała koniecznie poznać nazwisko tego obcego mężczyzny. Położyła urzędnikowi rękę na ramieniu. - Jak nazywa się ten mężczyzna, z którym właśnie rozmawiałam? v

Urzędnik zawahał się. Wiedział, że nie wolno mu ujawniać nazwisk pasażerów, ale wiedział także, że to jego szefowa stawia mu to pytanie.

Nerwowo oblizwał wargi, a potem spojrzał na trzymaną w dłoni listę. - Sądzę, że nazywa się... J. Marvin... tak, panno Banyon... pan J. Marvin... - Przerwał mu głośny dzwonek telefonu. Z przepaszającym uśmiechem wrócił do biurka.

- Pan wpisał mnie na listę pasażerów jako Elizabeth Brown, jak zawsze, prawda? - spytała jeszcze Corey. Urzędnik skinął, wiedział, że zawsze latała pod tym nazwiskiem, aby inni pasażerowie nie czuli się w jej obecności niezręcznie, zwłaszcza jeśli nie byli zadowoleni z jakichś usług podczas lotu. Nauczyła się tego od ojca.

Stewardesa oczekiwała jej w drzwiach i uśmiechnęła się przyjaźnie, zbyt przyjaźnie, zauważyła Corey, gdyż wiedziała, kim ona jest.

- Witamy na pokładzie... panno... Brown - mruknęła.

Corey przyjrzała się dokładniej ładnej, młodej kobiecie z rudymi włosami i zielonymi oczami. „Panna Brogan” było napisane na tabliczce identyfikacyjnej przypiętej do jej bluzki.

- Dziękuję,, panno Brogan - powiedziała. - Sama trafię na miejsce. Czy zechce-pani poinformować kapitana Taylora, że jestem na pokładzie?

Stewardesa skinęła uprzejmie. Corey zatrzymała się na chwilę w przejściu pierwszej klasy i spojrzała na oba miejsca w pierwszym rzędzie, które były zarezerwowane dla niej.

Rozejrzała się ostrożnie. Tylko kilka miejsc w pierwszej klasie było zajętych. Jej spojrzenie przyciągnęła magicznie para błękitnych oczu, które

patrzyły na nią wyzywająco znad gazety. Gazeta opadła niżej i odsłoniła zdecydowane usta z szerokim uśmiechem.

Corey stała jak wrośnięta, aż uświadomiła sobie, że w ten sposób daje mężczyźnie okazję do lustrowania jej od stóp do głów, jej szczupłej sylwetki z pełnymi piersiami i wąskimi biodrami, w szykownym kostiumie od Diora.

Poczuła zmieszana, że purpurowy rumieniec występuje jej na policzki.. Znowu mu się udało wyprowadzić ją z równowagi. Do licha! pomyślała i usiadła szybko na swoim miejscu przy oknie. Czego on właściwie od niej chce? Dlaczego nie może siedzieć w drugiej klasie? Zdjęła zakiet i kapelusz i położyła na wolnym siedzeniu obok siebie.

Po prostu nie będzie już o nim myśleć. Teraz chce tylko dostać się do Denver. Wyrzała przez okno. Z pewnością wkrótce zacznie padać. Corey usiadła wygodnie i zamknęła oczy. Za chwilę zasnęła.

RS



## ROZDZIAŁ 3

Corey poruszyła się lekko i wtuliła się głębiej w fotel i koc, którym ktoś ją przykrył. Było jej tak wygodnie, że trwało to dłuższą chwilę, zanim oprzytomniała i uświadomiła sobie, gdzie jest. Leżała na boku w fotelu lotniczym, nogi miała podciągnięte do góry.

Równomierny warkot silników samolotu przeniknął do jej świadomości i powoli otworzyła oczy. W jej polu widzenia znalazła się para długich, szczupłych nóg i ręka trzymająca neseser i jej kapelusz. Corey spojrzała sennie wyżej, na twarz należącą do właściciela tych długich nóg, zobaczyła jego energiczny podbródek i zdecydowane usta. Siedział odprężony obok niej, jakby tu było jego miejsce.

Naturalnie był to J. Marvin, ale to wiedziała już w tym momencie, gdy tylko otworzyła oczy. Nie uświadamiając sobie dokładnie, co robi, wpatrywała się w jego usta.

Serce zabiło jej szybciej i poczuła osobliwe uczucie, które dotąd było jej zupełnie obce. Nadal wpatrywała się w jego twarz, aż jego usta się lekko skrzywiły, jakby odgadywał jej myśli.

To zdarzyło się pierwszy raz w jej życiu, że jakiś mężczyzna pociągał ją fizycznie. Budził w niej uczucia, o których nie miała dotąd pojęcia, złość na jej własną słabość i pragnienie czegoś nieznanego, niemal bolesny niepokój.

Powoli podniosła wzrok i przyjrzała się ciemnowłosemu mężczyźnie. Jego błękitne oczy obserwowały ją z rozbawieniem, ale w ich głębi Corey odkryła namiętny ogień.

Podniósł rękę, położył jej palec pod brodę i odwrócił do siebie jej twarz. Jego usta dotknęły czule jej warg w delikatnej pieśczoce, jaką budzi się dziecko. Ale potem pocałunek się zmienił, stał się namiętny i władczy, aż oprzytomniała i spróbowała się bronić.

Dłoń Marvina prześliznęła się na jej kark i przytrzymała Corey, gdy ta próbowała się od niego oderwać. Jej ciało ogarnęło ciepło i chociaż jej rozum chciał się przed nim bronić, poczuła, jak jej ciało ją zdradza, jak oddaje się cudownym uczuciom, które ją przepełniały. Łagodnie zmusił jej wargi, by rozchyliły się przed jego natarczywym językiem, i Corey ustąpiła, odwzajemniła jego pocałunek, najpierw z wahaniem, a potem bardziej namiętnie, jakby jej rozum stracił kontrolę nad ciałem.

Jednak nagle Marvin ją puścił. - Panienko - szepnął - nie zamierzam przeproszać za ten pocałunek. Gdy patrzysz na bezbronno mężczyznę tymi swoimi oczami, jest to zaproszenie, któremu nikt nie może się oprzeć. -



Spojrzał na nią badawczo. - Sądzę nawet, że tobie samej się to podobało, nawet jeśli jesteś zbyt uparta, by to przyznać!

Corey otworzyła usta, by zaprzeczyć temu bezwstydnemu facetowi, ale wtedy uświadomiła sobie, że powiedział prawdę, nawet jeśli chętnie by temu zaprzeczyła. Patrzyła na niego gniewnie.

Marvin uśmiechnął się. - Myślę, że ogłosimy zawieszenie broni, prawda?

- Zawieszenie broni? - Corey zdobyła się na wysiłek zapanowania nad swoim głosem. - Przecież ja nawet nie wiem, kim pan jest!

Przerwał jej ze śmiechem. - Ja wiem. Czy to nie interesujące? Moglibyśmy nawet spróbować sprawdzić, kto pierwszy da upust swoim uczuciom... albo pani, dając mi w twarz, albo ja, całując panią.

- Jest pan po prostu niemożliwy - Corey ze złością wpadła mu w słowo. - Zawsze jest pan taki pewny siebie? Słowa „nie” chyba pan nigdy nie akceptuje.

Marvin spoważniał. Głęboko spojrzał w szeroko otwarte oczy Corey. - „Tak” na pani pierwsze pytanie i „nie” na drugie - odparł cicho.

Corey zamknęła oczy i potrząsnęła z niedowierzaniem głową. Po prostu nie mogła uwierzyć w to, co się z nią działo. Przecież pojechała na lotnisko tylko po to, by polecieć do Denver. A teraz obudziła się obok tego szaleńca... mężczyzny, którego nawet nie знаła i który całował ją, aż odwzajemniła jego pocałunek...

Niezwykłe działanie, jakie miał na nią Marvin, jest przecież tylko fizyczne, próbowała sobie wmówić. A ponieważ jest tylko fizyczne, IBOTT może kontrolować. Jeśli uda jej się trzymać tego mężczyznę na dystans, będzie też mogła znowu kontrolować swoje uczucia. Po dzisiejszym locie więcej go nie zobaczy, więc dlaczego miałaby z nim walczyć? Byłoby przecież o wiele łatwiej uznać jego obecność za stan przejściowy i pogodzić się z tym. Poza tym, jak dotąd, przegrywała z nim każdy pojedynek słowny.

Corey dumnie uniosła brodę, teraz już znowu trzymała się w ryzach. - A więc dobrze, zgadzam się... zawieszenie broni, panie Marvin.

Spojrzał na nią zaskoczony. - Skąd pani wie, jak się nazywam? - spytał swoim łagodnym głosem.

Corey spojrzała na niego rozbawiona, próbując stłumić śmiech. Nie wiedziała, że oczy jej błyszczą szelmowsko, że teraz znowu ujawniła się ta wesoła i pełna humoru Corey, jaką każdy znał... ? kochał.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, Marvin pogłodził ją palcem po dołeczku w policzku. Jego dotknięcie było jak elektryczny szok i Corey aż dech zaparło. Szybko odsunęła się od niego.

- Kiedy jest pani taka wesoła, jest pani jeszcze bardziej godna pożądaniam - stwierdził. - I jeszcze bardziej wrażliwa, a to mi bardzo przeszkadza, bo przemawia do mojego instynktu dżentelmena. Właściwie jestem cynikiem, ale pani mnie niepokoi, moja mała. A więc... skąd pani wie, jak się nazywam?

Corey uśmiechnęła się. Myśl, że go niepokoi, spodobała się jej i cieszyła się, że się do tego przyznał.

- Urzędnik przy odprawie powiedział mi, gdy go o to poprosiłam - przyznała.

- Po prostu podeszła pani do niego i zapytała o moje nazwisko, a on pani powiedział? - spytał Marvin z niedowierzaniem.

- Mniej więcej - Corey skinęła i uśmiechnęła się. To było po prostu cudowne! Fakt, że urzędnik wbrew przepisom podał jej nazwisko, zupełnie wyprowadził go z równowagi.

- I co ten facet pani powiedział, gdy spytała pani o moje nazwisko? - chciał wiedzieć.

Corey spojrzała szybko na niego, a potem odpowiedziała: - Powiedział, że pan jest J. Marvin.

Podniósł głowę i spojrzał na nią, jakby czekał na coś jeszcze. Gdy jednak nie powiedziała nic więcej, zaśmiał się serdecznie, jakby powiedziała dowcip.

- Pan J. Marvin. Ale ja też podałbym pani swoje nazwisko, gdyby mnie pani o to zapytała, zamiast chwytac się starego babskiego triku i dowiadywac się za moimi plecami. - Jego oczy błyszczały łagodnością. - Za to będzie, mi pani musiała zapłacić.

Marvin rozprostował swoje długie nogi i usiadł wygodniej, jego oczy patrzyły w dal, a na jego ustach igrał uśmiech.

- Ponieważ jest pani w tym szczęśliwym położeniu, że zna pani moje nazwisko, czy nie sądzi pani, że byłoby uczciwie, gdyby mi pani zdradziła swoje? - spytał. Serce Corey zaczęło bić szybciej, gdy przypomniła sobie jego pocałunek.

- Naturalnie... nazywam się Corey - wyjąkała.

- Czy mogę państwu zaproponować coś do picia? - spytał łagodny głos. - Panno Brown, czy ma pani jakieś życzenie? - Z drobnym ukłuciem zazdrości Corey zauważyła zmysłowy uśmiech, którym stewardesa obdarzyła Marvina.

- Nie, dziękuję - odparła zwięźle, wyjrzała przez okno i próbowała skoncentrować się na chmurach. Do licha z tym facetem, pomyślała. Kobiety lecą na niego jak muchy na lep! Próbowała zignorować jego głęboki głos, gdy odpowiadał stewardesie; - Poproszę burbona z wodą, ale bez lodu. - Po chwili stewardesą pojawiła się z zamówionym drinkiem. Marvin wypił łyk i

wyciągnął z kieszeni papierosy. - Panna Corey Brown - powiedział cicho. - Miło mi. No, teraz już się znamy. Niech mi pani powie, Corey Brown, czy zechciałaby pani wybrać się ze mną dziś wieczorem w Denver na kolację? - Spojrzała na niego przerażona, a potem szybko potrząsnęła przecząco głową.

- Nie, przykro mi, ale to zupełnie niemożliwe. - Wstrzymała oddech, czekając na jego odpowiedź.

- Nie może pani... czy też boi się pani wyjść ze mną na kolację? Niech mi pani powie, Corey.

- Boję się? Czego niby miałabym się bać? - wyszeptała.

- Nie wiem. Może boi się pani tego, co mogłoby między nami zająć. Wyczułem to w pani pocałunku, Corey. Zauroczyła mnie pani i chciałbym panią znowu zobaczyć... i sędzę, że pani czuje to samo. Coś się wydarzyło, gdy panią pocałowałem... przeskoczyła jakaś iskra. A wie pani przecież, że tam, gdzie są iskry, może być też duży ogień. Jest pani bardzo namiętą kobietą, nawet jeśli próbuje to pani ukryć. Dotąd się to pani może udawało, ale teraz ja jestem tutaj, a ja przywykłem do tego, by wygrywać. Nie musi się pani bać, nie jestem żonaty - próbowałem ją uspokoić.

Corey uśmiechnęła się lekko. - Cieszę się, że nie jest pan żonaty, panie Marvin. Ale to nie ma nic wspólnego z moją odmową. Nie mogę dzisiaj iść z panem na kolację, bo jestem już umówiona.

Nieufnie ściągnął brwi, wydawał się rozgniewany. - A jutro wieczorem?

Znowu potrząsnęła głową. - Przykro mi, ale potem też jestem zajęta.

- Panno Brown, przepraszam - przerwała stewardesa, zanim J. Marvin zdążył odpowiedzieć. Corey podniosła wzrok, była wdzięczna za tę przeszkodę.

- Tak, panno Brogan? - spytała. Marvin spojrzał ze złością na ładną stewardesę.

- Kapitan Taylor prosi, by zaczekała pani, aż wszyscy pasażerowie wysiądą. Jak tylko będzie gotowy, przyjdzie do pani.

Corey skinęła, a potem zwróciła się znowu do Marvina. Jego długie, gęste rzęsy kryły przed nią oczy, ale wyglądało, jakby się odprężył. Uśmiech rozbawienia zdawał się igrać wokół jego ust. Odetchnął głęboko, założył nogę na nogę i wpatrywał się w czubki butów.

- Zdaje się, że rzeczywiście ma pani plany na dzisiejszy wieczór - stwierdził.

- Przykro mi, panie Marvin, ale naprawdę nie mogę iść z panem na kolację. Jednak z pewnością nie zmarnuje pan czasu w Denver. Jest tam wiele ładnych dziewcząt, które tylko czekają na pańskie zaproszenie.

- Ironia zabrzmiała w głosie Corey, gdy mówiła dalej: - Na pewno niedługo zapomni pan o mnie.

Samolot wylądował i toczył się powoli. J. Marvin odpiął pas i zaśmiał się cicho, a potem zwrócił się do niej: - Czy wierzy pani w fatum czy też przeznaczenie?

Potrząsnęła głową. Czego on znowu od niej chce?

- Ja wierzę i jestem pewien, że mój czas w Denver nie będzie zmarnowany. Zobaczmy się wkrótce. - Wstał i spojrzał na nią z góry, potem pochylił się i pocałował ją w usta. Wargi paliły ją od jego dotknięcia, kiedy puścił ją, uśmiechnął się do niej jeszcze raz, a potem odwrócił się i wyszedł.

RS

## ROZDZIAŁ 4

- Cześć, kochanie... dobrze wyglądasz! - Corey uśmiechnęła się, słysząc te słowa. Spojrzała w górę, w wesoło roześmianą twarz siwowłosego mężczyzny w mundurze. Zerwała się z uśmiechem i rzuciła się Danowi na szyję, a on objął ją w talii swoimi wielkimi dłońmi i uniósł do góry.

- Najwyższy czas. Już tu prawie zasnąłam. - Odsunęła się i spojrzała na niego badawczo. Zmarszczyła czoło. - Wyglądasz na zmęczonego, Dan. Dobrze się czujesz? - Posadził ją w fotelu i usiadł obok niej. Pomachał do pozostałych członków załogi, przechodzących koło nich do wyjścia. Teraz byli sami w samolocie; wiedziała, że Dan specjalnie zwlekał z odpowiedzią na jej pytanie.

Uśmiechnął się do niej czule. - Czuję się dobrze, mój skarbie. Myślę tylko, że powoli robię się za stary, by latać wszere i wzdłuż po całym świecie. Wydaje mi się, że wszystkie miasta wyglądają tak samo. - Wzruszył ramionami. - Może też tęsknię za tym, by zasypiać co wieczór we własnym łóżku, z Maggie u boku. Mam już po prostu dość tych wiecznych hoteli. Brakuje mi Maggie.

- Ale przecież na pewno nie chcesz jeszcze iść na emeryturę w wieku pięćdziesięciu lat, Dan. Wierzę, że i Maggie za tobą tęskni, zwłaszcza że Tina i Jeff są teraz w college'u. - Corey zaśmiała się cicho.

Dan skinął, cień smutku padł na jego twarz, westchnął cicho. - Naturalnie masz rację, Corey. Sądzę, że Maggie czuje się dość samotna, odkąd Tiny i Jeffa nie ma w domu. A ja też jestem większość czasu w drodze. Maggie z pewnością zasłużyła sobie na coś lepszego i najwyższa pora żebyśmy prowadzili normalne życie, jak większość par w naszym wieku. Powinienem pojechać z nią na urlop. Ale cieszymy się, że zostaniesz u nas na noc, Corey. To tak, jakby dzieci były znowu w domu, a Maggie będzie miała wreszcie z kim poplotkować.

Corey zaśmiała się. - Powinieneś więcej czasu spędzać w biurze w Denver, Dan. Nie musisz przecież ciągle latać dookoła świata. Wtedy mógłbyś być co wieczór w domu! - Wstrzymała oddech i czekała na jego odpowiedź. Oczy jej zabłyły i stłumiła śmiech, gdy zobaczyła, jak na dźwięk jej słów skrzywiła się jego twarz.

- Tam nie ma dość roboty dla mnie. Ty masz wszystko pod kontrolą. A gdy się nad tym zastanowię... dlaczego właściwie dostaję ostatnio kopię z każdej notatki, która opuszcza twoje biuro? Za każdym razem, gdy przychodzę do biura, cała sarta tego leży na moim biurku.



Patrzył na nią tak przenikliwie, że Corey odwróciła wzrok i rozejrzała się po samolocie. - Ach, daj spokój, Dan - powiedziała. - Wiem przecież, że najwyżej raz czy dwa razy w tygodniu idziesz do swojego biura. To przecież całkiem naturalne, że w takiej sytuacji papiery zbierają się na twoim biurku. Poza tym chcę być pewna, że wiesz o wszystkich moich decyzjach. W końcu razem z ojcem założyłeś tę spółkę i należy w połowie do ciebie. - Spojrzała na niego niewinnie.

- Czy w ogóle się nie interesujesz, co się dzieje? Oskarżycielsko wskazał palcem na Corey i odparł: - Do mnie należy czterdzieści pięć procent spółki, młoda damo, jak bardzo dobrze wiesz. To jeszcze nie oznacza, że połowa. I od lat prowadziłaś firmę tak dobrze, że działa niemal sama z siebie, ze wszystkimi tymi oddziałami i pododdziałami, które stworzyłaś. A więc dlaczego nagle jestem zarzucany tymi wszystkimi informacjami?

Corey daremnie próbowała się uśmiechnąć, potem spojrzała na Dana.

- No więc, moje pięćdziesiąt pięć procent postanowiło, że potrzebuje urlopu - bardzo długiego urlopu - i dlatego zakładam, że z twoich czterdziestu pięciu procent nagle zrobiło się sto. Cała sprawa spoczywa teraz wyłącznie w twoich zręcznych rękach, wujku Dan - wyjaśniła spokojnie.

Dan otworzył usta i zamknął je z powrotem, zanim był w stanie udzielić jej odpowiedzi. - O czym ty u diabła mówisz? Od śmierci ojca żyłaś w biurze, jadłaś tam, piłaś, nawet spałaś. Skąd więc ta nagła decyzja, by wszystko mi przekazać? Bo jeśli jedynym powodem jest to, że powiedziałem, iż nie chciałbym już tyle latać po świecie i chciałbym więcej czasu spędzać z Maggie, to możesz o wszystkim zapomnieć, nic z tego. A więc wyłóż teraz swoje karty na stół, Corey Banyon.

Zdecydowanie potrząsnęła głową. - Teraz ty mnie posłuchaj, Danie Taylorze. Mam dwadzieścia osiem lat i każdy mówi mi, że dobrze wyglądam. Cudownie. Ty i wuj Matt zrobiliście po śmierci ojca wszystko, co uważaliście dla mnie za najlepsze, i prawdopodobnie mieliście rację. Praca dobrze mi zrobiła, ale w rzeczywistości to ty powinieneś siedzieć za tym biurkiem, a nie ja. Ty byłeś partnerem mojego ojca i była to tak samo twoja firma, jak jego. Wydaje mi się, że nadszedł odpowiedni czas na dokonanie zmiany. Ty nie jesteś zadowolony ze swojego obecnego losu i Maggie też nie. A ja mam uczucie, że wreszcie muszę wyrwać się z tego młyna. Chciałabym robić rzeczy, które robią inne młode dziewczyny w moim wieku - chciałabym się bawić, chodzić na przyjęcia i poznawać nowych ludzi, chciałabym kupić samochód i pojeździć po kraju. I chciałabym spotkać mężczyzn, którzy nie będą we mnie widzieli córki Banyona, tej niewyobrażalnie bogatej kobiety z



Kansas City. Raz w życiu chciałabym być tylko Corey Banyon. - Położyła rękę na ramieniu Dana i spojrzała na niego prosząco. - Czy ty tego nie rozumiesz, Dan? Chciałabym być taka, jak Tina. Ona jest teraz w college'u i uczy się rzeczy, na które ja nigdy nie miałam czasu, spotyka mężczyzn, którzy nie wiedzą, że jej ojciec jest upiornie bogaty. Ja mam dość tych wiecznych jedwabnych sukni od Diora i butów na wysokim obcasie. Chciałabym wreszcie nosić dżinsy i swetry, jak Tina. A potem chciałabym poznać jakiegoś mężczyznę i żyć z nim tak, jak ty i Maggie. - Przerwała i wpatrywała się przed siebie ze splecionymi dłońmi, przypominając sobie, jak mężczyzna o błękitnych oczach ją całował, jak jego wzrok ślizgał się pieszczotliwie po jej ciele i budził w niej napiętność.

- Rozumiem cię, kochanie, a teraz, kiedy widzę, że myślisz to serio, nawet się z tobą zgadzam. I byłbym głupcem, gdybym nie przyznał, że pociąga mnie to wyzwanie, by kierować spółką. Ale, Corey, nie twierdzisz chyba, że w ostatnich sześciu latach nie nawiązałaś dosyć znajomości z mężczyznami. Jesteś dla mnie jak córka i znam mężczyzn, z którymi się spotykałaś. Każdy z nich miałby moją, przychylność, wszyscy byli miłymi, ciężko pracującymi młodymi ludźmi, a twój ojciec z pewnością chętnie zaakceptowałby każdego z nich jako swego zięcia. A więc dlaczego ,nie znalazłaś jeszcze tego właściwego?

Corey westchnęła głęboko, a potem wstała. - Powietrze tutaj jest nie najlepsze - wykręciła się. - Weźmiemy taksówkę, a potem będziemy mogli dalej porozmawiać, dobrze?

Dan położył jej rękę na ramieniu. - Dobrze, mój skarbie. Ale chciałbym jednak otrzymać odpowiedź na moje pytanie. A jeśli rzeczywiście mówisz to wszystko serio, to zabiorę gdzieś dzisiaj wieczorem ciebie i Maggie i uczymy to. Maggie oszaleje z radości, gdy jej powiem, że teraz co wieczór będę w domu na kolacji! - Zaśmiał się cicho i Corey też się uśmiechnęła. Bardzo łatwo było namówić Dana, by przejął kierownictwo spółki. Nigdy nie sądziła, że ucieszy się z tego, że będzie siedział za biurkiem. Ale los obszedł się z nią łaskawie, przynajmniej na razie. Przy tej myśli zmarszczyła czoło. Los... przeznaczenie. „Czy pani w to wierzy, Corey Brown”? Uśmiechnęła się na wspomnienie tych słów.

Właśnie w tej chwili Dan na nią spojrzał. - Czy możesz mi powiedzieć, z czego się śmiejesz? - Prowadził ją przez tłum ludzi do wyjścia.

- Właśnie sobie uświadomiłam, dlaczego żaden z tych mężczyzn, których poznałam w ostatnich latach, tak naprawdę mi się nie spodobał. - Pytając spojrzała na Dana, jej oczy błyszczały szelmowsko. - Czy wiesz, że wszyscy

ci mężczyźni nosili albo szary flanelowy garnitur, albo brązowy garnitur z wełny czesankowej? Wszyscy mężczyźni w szarych flanelowych garniturach nosili czarne buty i czarne lub ciemnoszare aktówki. Wszyscy ci mili, młodzi mężczyźni w brązowych garniturach z wełny czesankowej nosili brązowe buty i brązowe lub beżowe aktówki. Wszyscy byli dobrze wychowani, mieli doskonałe maniery, byli uprzejmi i dobrze się prezentowali. I każdy z nich mówił coś odpowiedniego we właściwym miejscu i odnosił też sukcesy w interesach. Wszyscy oni traktowali mnie z dużym respektem i żaden z nich nie odważył się posunąć się dalej niż do przelotnego pocałunku. Nigdy żaden z nich nie porwał mnie w ramiona i nie kochał się ze mną namiętnie. I to jest odpowiedź na twoje pytanie, Dan. Wszyscy oni byli wyrachowani.

Dan skinął, a potem przyciągnął ją do siebie. - Pewnie to nie było łatwe być zawsze nieprzystępną panną Banyon, prawda? Powinienem być już dawno uwolnić cię od tego nieszczęsnego położenia. Tak mi przykro, mój skarbie.

Dan zatrzymał taksówkę i wsiedli.

- Ach, a tak przy okazji - powiedziała Corey mimochodem. - Zanim jutro pojedę dalej, wybieram się na krótką wizytę w centralnym szpitalu na badanie. Wszystko jest w porządku, ale neurolog poradził mi to, gdyż przez jakiś czas będę podróżować. Ale proszę, nie mów o tym Maggie, bo tylko niepotrzebnie się zmartwi, dobrze? - Ze strachem obserwowała Dana i odetchnęła z ulgą, gdy skinął potakująco.

Gdy taksówka jechała przez miasto, a potem przez podmiejskie osiedla z wypielegnowanymi trawnikami i ładnymi ogrodami, Corey spojrzała na niebo. - Zawsze się dziwię, że niebo jest tu zawsze takie promiennie niebieskie, gdy was odwiedzam.

Dan uśmiechnął się i nachylił do taksówkarza, by kazać mu zatrzymać się przed dużym domem w stylu Tudorów.

- Zawsze dobrze jest wracać do domu - powiedział, gdy szli drogą wyłożoną jasnymi, podobnymi do marmuru kamieniami. - Nie mogę się doczekać, by zobaczyć znowu Maggie. Wydaje mi się, jakbym był poza domem dwa tygodnie, a nie dwa dni. - Swoją wielką dłonią pogładził ją po jasnych lokach, gdy spojrzała na niego ze śmiechem. - Poczekaj tylko, aż zobaczy, jaką jej przywiozłem niespodziankę. Ona jeszcze wcale nie wie, że przyjeżdżasz.

Corey cieszyła się, że zobaczy Maggie, ale czuła się bardzo zmęczona i wyczerpana. Teraz marzyła o gorącym prysznicu i odpoczynku, zanim będzie gotowa do wyjścia, które Dan zaplanował na dzisiejszy wieczór dla niej i dla Maggie.

Dan otworzył drzwi i weszli do domu. Corey usłyszała jakieś głosy z salonu, do którego prowadziło kilka stopni. Dan spojrzął na nią pytająco i przeszedł przez hall do pokoju. Gdy nagle roześmiał się ucieszony, Corey poczuła, jak krew zastęga jej w żyłach. Nie była w stanie przejść ani kroku dalej. Serce biło jej jak szalone, z niedowierzaniem patrzyła na rozgrywającą się przed nią scenę.

- Marvin, ty łobuzie! Kiedy przyjechałeś? Do licha, ależ się cieszę, że cię znowu widzę! - Dan promieniał.

Corey zamknęła oczy i z wysiłkiem dotknęła bolącej głowy, gdy usłyszała w odpowiedzi ten śmiech, który już tak dobrze знаła. Wiedziała, nie patrząc nawet, że on tu jest, tu, w domu Maggie i Dana, jakby to było oczywiste. Zrobiła krok do przodu i spojrziała na niego, jak obejmując ramieniem Maggie, ze śmiechem potrząsa dłonią Dana. Corey stanęła jak osłupiała i wpatrywała się w jego uśmiechniętą twarz i niebieskie oczy.

- No, można by powiedzieć, że wylądowałem tu dokładnie w tym samym czasie, gdy twój samolot dotknął kołami ziemi.

- Dlaczego na mnie nie zaczekałeś, moglibyśmy przecież razem przyjechać do domu? Zostaniesz chyba, prawda? Miejsca mamy dosyć.

- Dan zaśmiał się serdecznie.

Marvin skinął z uśmiechem. Spojrzął na Maggie, która patrzyła na niego czule.

- Jestem tu, niestety, służbowo. I prawdopodobnie zostanę około dwóch tygodni. Poza tym przyjąłem już zaproszenie najpiękniejszej kobiety w kraju!

Corey poczuła, jak rośnie w niej wściekłość, gdy zobaczyła, że Maggie patrzy na niego z podziwem. To przecież zupełnie niemożliwe. On nie może tu być... nie w domu Maggie, gdzie zdawał się czuć tak dobrze, jakby był u siebie! O, do licha! Dlaczego nie może przestać o nim myśleć! Taką miała nadzieję, że nigdy więcej go nie zobaczy. A teraz ten J. Marvin był tutaj, wpychał się w jej życie i budził w niej te wszystkie sprzeczne uczucia, którym nie mogła się oprzeć. Corey zacisnęła usta i próbowała wziąć się w garść, być chłodną i opanowaną. Była zdecydowana, że nie pokaże mu, jak działa na nią jego obecność. Ale nie może też ciągle stać w progu, nie może dłużej się przed nim ukrywać. Ironiczny uśmiech pojawił się na jego twarzy, gdy zobaczył ją zza ramienia Dana, jakby cały czas wiedział, że ona tam stoi. Słowa, które skierował teraz do Dana, były przeznaczone dla niej, i Corey wiedziała o tym.

- W czasie lotu moja uwaga była zwrócona gdzie indziej, Dan. Moje myśli były... zajęte czymś innym.

Dan skinął i zaśmiał się cicho. - Tak, mogę sobie wyobrazić. Panna Brogan jest bardzo, ładna, prawda? Założę się, że masz już plany na dzisiejszy wieczór. - Maggie dała mu lekkiego kuksańca w bok, a J. Marvin zaśmiał się, patrząc znowu na Corey.

- Nie, ten wieczór mam wolny. Chciałem go spędzić z dwojgiem najsympatyczniejszych ludzi, jakich znam.

Nagle Dan otworzył szerzej oczy z przerażenia, a potem odwrócił się.

- O, mój Boże! Zapomniałem przecież o niespodziance dla ciebie, Maggie! Zobacz, kogo przywiozłem. Tak mi przykro, Corey, byłem tak zaskoczony, że zobaczyłem tu Marvina, iż prawie zapomniałem o tobie. Chodź do środka, dlaczego stoisz w przedpokoju?

Maggie zaśmiała się ucieszona, podbiegła do Corey i uściskała ją. Patrzyła karcąco na swojego męża.

- Danie Taylor, czasami masz naprawdę wrażliwość słonia! Jak mogłeś zostawić Corey w przedpokoju? - Znowu przycisnęła do siebie Corey, a ta zmusiła się do uśmiechu. - Nie krzycz na niego, Maggie

- poprosiła. - Przecież miałam być dla ciebie niespodzianką, dlatego zostałam w przedpokoju. Nie chciałam zepsuć przyjemności Danowi.

- Och, tak się cieszę, że jesteś, mój skarbie. Bez Tiny i Jeffa czuję się tak samotna, a teraz mam nie tylko ciebie, ale także Marvina!

- Jak to miło z twojej strony, Maggie - zauważył sucho ciemnowłosa mężczyzna. - Ale czy jesteś pewna, że to nie będzie dla ciebie za dużo?

Dan zaśmiał się, gdy Maggie spojrzała promiennie na stojące przed nią trzy osoby. - O Boże, rzeczywiście zapominam o manierach

- stwierdził. - Przecież wy oboje wcale się nie znacie, a my już robimy plany na następne tygodnie.

- Corey i ja już się poznaliśmy... prawda? - usta J. Marvina skrzywiły się kpiąco, a potem powiedział cicho: - Ona była tą, która odwróciła moją uwagę w czasie lotu. - Jego spojrzenie powiedziało jej, że nie zapomniał, jak namiętnie odwzajemniła jego pocałunek.

Corey skinęła. - Tak, pan Marvin i ja siedzieliśmy koło siebie w samolocie - wyjaśniła chłodno. - Ale wtedy jeszcze nie wiedziałam, że mamy wspólnych przyjaciół.

- To prawda - zgodził się. - Nasza rozmowa była dość ograniczona, ale zgodzi się pani ze mną, Corey, że są jeszcze inne rodzaje komunikacji.

Zanim Corey zdążyła odpowiedzieć, wtrącił się Dan. - Chwileczkę, Corey, dlaczego nazywasz Marvina panem Marvinem? - Spojrzał na nią ze zdziwieniem.



- Przecież tak się chyba nazywa, prawda? - spytała. - J. Marvin. Dan milczał przez chwilę, a potem spojrzał pytająco na Marvina i Maggie. Nagle zaczął się serdecznie śmiać. Coś tu było nie tak, pomyślała Corey, a spojrzenie w oczy Marvina, w których błyszczały iskry rozbawienia, wzmocniło jeszcze jej wrażenie. Poczula się zmieszana. - Jeśli możesz się na chwilę opanować, Dan, to może mi powiesz, co w tym wszystkim jest takiego śmiesznego? - spytała ostro.

Dan spróbował opanować śmiech, ale wyprzedził go Marvin. - Niestety, nie miałem okazji, by się przedstawić w czasie lotu, Corey. Zdaje się pani sądzić, że Marvin to moje nazwisko, ale naprawdę nazywam się John Marvin Riordan junior. Moi przyjaciele mówią na mnie Marvin.

Corey zacisnęła zęby, aż zabolą ją szczęki. Nie może przecież dać po sobie poznać złości. Uśmiechnęła się więc tylko i wzruszyła ramionami. - Przykro mi... Marvin. Jak mogłam zrobić tak głupi błąd? Czy może mi pan wybaczyć? - Obdarzyła go swoim najbardziej niewinnym spojrzeniem, a potem spuściła oczy, by nie widział, jak naprawdę się czuje.

- Ależ, Corey, zupełnie nie mogę sobie wyobrazić, by mogła pani popełnić jakiś błąd - stwierdził cicho. - Na pewno znajdę możliwość, by przyjąć pani przeprosiny. I na pewno nie będzie to przykre, zapewniam panią. - Uśmiechnął się, a Corey wiedziała dokładnie, co miał na myśli. Szybko spojrzała na Maggie. - Maggie, jestem trochę zmęczona, a poza tym chciałabym jak najszybciej wziąć prysznic. Czy mogę pójść na górę i odpocząć trochę w pokoju Tiny? Dan chciałby nas dzisiaj zaprosić do lokalu, ma powód do świętowania. I nie musisz tak na mnie patrzeć, nie zdradzę ci tego, będziesz musiała poczekać do wieczora.

- To wszystko prawda, Marvin - przerwał Dan uprzejmie. - Zamierzałem wyjść wieczorem z tymi dwiema damami, a skoro ty, jak powiedziałaś, nie masz żadnych planów na dzisiejszy wieczór, możesz się w to włączyć. Ten wieczór powinien być dla Maggie czymś szczególnym.

Maggie też spojrzała na Marvina błagalnie, a gdy zauważył, że Corey odwróciła się niechętnie, skinął na zgodę. Mogłam się domyślać, że się zgodzi, pomyślała Corey.

- Może Corey i ja zostawimy was teraz oboje samych. Jeśli ci to odpowiada, Maggie, zakwateruję się w pokoju Jeffa. Jestem ci naprawdę wdzięczny za twoją gościnność. - Marvin wziął walizkę Corey i poszedł szybko w stronę schodów, by dogonić dziewczynę, która weszła już na górę. - Niech pani zaczeka - zawołał za nią. - Niezależnie od tego, co ludzie sądzą o

dobrych manierach, chciałbym otworzyć pani drzwi do pokoju. Dla moich dam zawsze to robię.

Odwróciła się do niego z wahaniem. - Jestem pewna, że jest ich wiele, panie Riordan - powiedziała tak cicho, że Maggie i Dan nie mogli jej usłyszeć. Uśmiechnęła się do niego chłodno i szła dalej.

Gdy dotarli do jej pokoju, Corey sięgnęła po swoją walizkę, ale Marvin nadal trzymał ją mocno. - Dziękuję, panie Riordan, teraz doskonale dam sobie radę sama - stwierdziła.

Walizka upadła na podłogę, gdy jego twarde jak stal palce zamknęły się wokół jej nadgarstka. Wpatrywała się w niego bez słowa, niezdolna do zaczerpnięcia oddechu, gdy jego usta zbliżyły się do jej warg. Słyszała głośne bicie swego serca i zamknęła oczy, czekając na jego pocałunek.

Ale zamiast tego usłyszała tylko jego szept: - Marvin... nie „panie Riordan”, Corey. Niech pani to powie. - Próbowwała uwolnić rękę, ale Marvin był silniejszy i nie puszczał jej. A nawet gdyby ją puścił, uświadomiła sobie nagle, nie mogłaby się ruszyć, tak paraliżował ją jego wzrok.

Spojrzała na niego z drżącymi ustami. - Marvin... - szepnęła. - Łobuz z pana.

Odrzucił głowę do tyłu i roześmiał się głośno, a potem ją puścił. Niewiele brakowało, by straciła równowagę. Ze złością uniosła rękę, by uderzyć go w twarz i zetrzeć z niej ten arogancki uśmiech.

Ale zanim dosięgła jego twarzy, chwycił jej rękę, a drugą ręką złapał ją za włosy i obrócił tak, że musiała na niego spojrzeć. Stała przed nim bezsilna i zmieszana, gdy nagle zobaczyła wściekłość w jego oczach. Jego głos brzmiał chłodno, gdy mówił do niej cicho: - Niech pani nigdy więcej nie próbuje mnie uderzyć, Corey. Bo mogę pani oddać. A teraz niech pani idzie do swego pokoju i odpocznie. Będzie pani tego potrzebować.

Wziął swoją walizkę, odwrócił się i poszedł do pokoju Jeffa, nie oglądając się.



## ROZDZIAŁ 5

Corey odkręciła gorącą wodę i weszła pod silny strumień prysznic. Umyła włosy, rozmasowała bolącą głowę i namydliła całe ciało. Gdy po chwili wyszła spod prysznic, czuła się już lepiej.

Znalazła suszarkę Tiny, wysuszyła włosy i wróciła do sypialni. Tak często już mieszkała w tym pokoju, że czuła się jak u siebie. Tina zaoferowała jej nawet swoją garderobę, bo nosiły ten sam rozmiar.

Jasne loki Corey opadały w miękkich lokach wokół jej twarzy. Szybko podeszła do szafy, musiała jednak wejść na krzesło, by zdjąć z górnej półki pudło z rzeczami, które zostawiła tu podczas ostatniej wizyty. Balansowała z kartonem nad głową, gdy nagle usłyszała jakiś szmer przy drzwiach. Corey odwróciła się powoli i stanęła jak wryta na krześle, podczas gdy para błękitnych oczu wnikliwie ją lustrowała.

Marvin był w pokoju, zamknął drzwi za sobą. Jego włosy były mokre od prysznic. Miał na sobie tylko obcisłe spodnie, które podkreślały jego szczupłe biodra. Powoli podszedł do Corey. Gdy wpatrywała się w niego szeroko otwartymi z przerażenia oczami, zatrzymał się i zrobił przeproszający gest.

- Naprawdę pukałem, ale nie odpowiadała pani. Obawiałem się już, że coś się pani stało, dlatego wszedłem. - Przerwał na chwilę. Przyszedłem, żeby panią przeprosić... - Jego wzrok paraliżował Corey, nadal stała bez ruchu i wpatrywała się w muskularne ramiona, szeroką pierś z gęstymi, kręconymi włosami. Nagle poczuła pragnienie, by zanurzyć palce w tych ciemnych, jedwabistych włosach, by poczuć jego twarde mięśnie. Jej spojrzenie powędrowało do jego talii i włosów, które schodziły się w prostą linię i znikwały pod paskiem jego spodni. Ogarnęło ją dziwne uczucie, które uczyniło ją bezbronną i niezdolną do oporu. Nerwowo oblizwała zaschnięte wargi. Marvin obserwował ją i westchnął głęboko, gdy zobaczył ten ruch. Potem odwrócił się zdecydowanie i przekręcił klucz w drzwiach. Corey szepnęła bezgłośnie „nie”, podczas gdy Marvin bez słowa szedł do niej po grubym, miękkim dywanie.

Serce waliło jej jak szalone, krew dudniła w uszach, miała trudności ze złapaniem oddechu. Otworzyła usta, gdy Marvin stanął przed nią i przyglądał się jej natarczywie.

Ponieważ Corey stała na krześle, ich twarze były na tej samej wysokości. Nie drgnęła nawet i stała bez ruchu, jakby ją zahipnotyzował. Potem poczuła, jak Marvin obejmuje jej głowę i przyciąga ją do siebie. Dopiero teraz

uświadomiła sobie, że ona chce dokładnie tego samego, że niczego na świecie bardziej nie pragnie niż leżeć w jego ramionach i czuć jego pocałunki. Jego usta zbliżyły się, poczuła ciepły oddech na skórze. Szeptał czule słowa, jednak powstrzymywał się od pocałunku, który ukoiłby to bolesne pragnienie w jej wnętrzu.

- Żadnego przeproszania więcej, Corey... i żadnej kłótni. Tylko uczciwość.

Nie broniła się, gdy Marvin przyciągnął ją bliżej, a jego usta dotknęły jej warg. Czule pieścił językiem jej usta. Corey jęknęła, gdy ogarnęło ją przemożne pożądanie. Oplotła ramionami jego szyję i przycisnęła się do niego. Jego pocałunek stał się teraz bardziej namiętny, władczy i Corey poczuła jego podniecenie. Gwałtownie odwzajemniła pocałunek, zatraciła się we wspaniałym uczuciu podniecenia. Jego język wśliznął się do jej ust i rozpalil w niej płomień. Położyła dłonie na jego nagiej piersi i gładziła jedwabiste, kręte włosy. Marvin jęknął, gdy przejechała paznokciami po jego skórze. Szybkim ruchem zdjął ją z krzesła i zaniósł do łóżka.

Corey zapomniiała o całym świecie, czuła tylko pieszczoty jego dłoni i ust. Wtulił twarz w jej szyję i czule chwycił zębami płatki jej uszu. Cały jej opór zniknął, jej złość na jego zachowanie, pewność siebie i męską arogancję. Ważne były tylko uczucia, które w niej wzbudzał, gdy położył się na niej i całował ją namiętnie. - Proszę, Marvin - szepnęła Corey. - Proszę... nie przestawaj... kochaj mnie... - Zdusił jej błagalne słowa kolejnym pocałunkiem, zdejmując z niej ręcznik, którym owinęła się, wychodząc z łazienki. Corey nie czuła chłodnego powietrza, które owiewało jej ciało. Czuła tylko pocałunki Marvina na swojej skórze, gdy delikatnie gładził językiem brodawki jej piersi. Ostrożnie zaczął ssać jej pierś, aż ciało Corey zadrżało z pożądania i wygięło się w łuk. Jęknęła z rozkoszy, a jej dłonie powędrowały poprzez jego pierś do suwaka jego spodni.

Niecierpliwym ruchem Marvin uwolnił się ze spodni, potem położył się z powrotem obok Corey na łóżku i pociągnął ją na siebie. Długo się jej przyglądał, obserwował, jak namiętność narasta w jej oczach. Przez chwilę pomyślała, że jest nagi, tak samo nagi jak ona, ale już w następnej chwili przestała myśleć o czymkolwiek, czuła tylko jego dłonie, które przesuwaly się po jej biodrach i po wewnętrznej stronie ud.

Marvin jęknął, przekreślił się nagle na łóżku, nakrywając ją swoim ciałem. - Tak, Corey - szepnął czule. - Teraz jest czas, by się z tobą kochać. Jesteś dokładnie tak gorąca i namiętna, jak sobie wyobrażałem, i teraz jesteś gotowa do miłości... - Nagle zdrętwiał, a potem puścił ją. - Cholera - szepnął cicho.

Corey potrzebowała dłuższej chwili, by zrozumieć, co się stało. Marvin przykrył ją kołdrą, a gdy spojrzała na niego nic nie rozumiejąc, stał już koło łóżka ubrany w spodnie.

Dopiero teraz usłyszała głos Maggie i ciche pukanie do drzwi. Maggie wydawała się zaniepokojona. - Corey - zawołała - Corey, kochanie... dobrze się czujesz? Dlaczego nie odpowiadasz? Corey, otwórz drzwi!

Corey odetchnęła, drżąc na całym ciele, a potem rozejrzała się dookoła. Rumieniec wypłynął jej na policzki, cała trzęsła się ze wstydu, gdy napotkała wzrok Marvina. Stał przy łóżku z rękami opartymi na biodrach i wpatrywał się w drzwi. Powinna odpowiedzieć, zanim Maggie otworzy drzwi i wejdzie, pomyślała, potem jednak przypomniała sobie, że Marvin przecież zamknął drzwi na klucz.

- Wszystko w porządku, Maggie - zawołała Corey i była zdziwiona, że jej głos brzmi tak mocno. - Zasnęłam. Przykro mi, że się o mnie martwiłaś. - Podczas gdy uspokajała Maggie, myśli jak szalone krążyły w jej głowie. Jak mogła się tak daleko posunąć? I co by się stało, gdyby Maggie im nie przerwała? Z pewnością żałowałyby później, że dała się ponieść nastrojowi chwili. Byłaby przecież tylko kolejną zdobyczą na liście podbojów Marvina. Zawstydzona zamknęła oczy, unikając jego wzroku.

Maggie zawahała się chwilę, jednak odpowiedź Corey najwidoczniej ją usatysfakcjonowała.

- No dobrze, w porządku, mój skarbie, ale wkrótce wychodzimy, nie masz zbyt wiele czasu. Dan zamówił stolik w tym nowym klubie, więc wyszukaj w szafie Tiny jakąś szykowną sukienkę. Ona na pewno ma coś odpowiedniego! Mniej więcej za godzinę, wyjeżdżamy. Na razie!

- Zaraz się ubieram, Maggie - zawołała Corey i odetchnęła z ulgą, gdy usłyszała oddalające się kroki starszej kobiety. Zamknęła oczy i położyła dłoń na czole. Najchętniej zwinęłaby się w kołdrę i została tak do rana. Cichy szelest przywrócił ją do rzeczywistości. Marvin stał przy łóżku i patrzył na nią.

- Przykro mi, że tak wykorzystałem gościnność Maggie - powiedział.

- Nie powinienem był tego robić.

Starając się sprawiać wrażenie obojętnej, Corey odpowiedziała lekko:

- No tak, Marvin, nic się przecież nie stało, więc niech się pan nie martwi. Daliśmy się tylko na chwilę ponieść uczuciom. Na pewno nic więcej się nie wydarzy.

Ze zdziwieniem uniósł do góry brwi. - Jeśli to, co się właśnie między nami wydarzyło, przypisuje pani tylko chwilowym uczuciom, moja mała

czarownico, to czeka panią niespodzianka. Było dobrze... diabelnie dobrze i na pewno to powtórzę... gdy nikt nie będzie nam mógł w tym przeszkodzić!

Corey usiadła na łóżku, przytrzymując na sobie kołdrę.

- Być może lubi pan flirty i przelotne romanse, Marvin, ale ja nie. Poza tym zupełnie mnie nie interesuje, żeby znaleźć się na pańskiej długiej liście podbojów!

Marvin rozciągnął usta w uśmiechu. - Corey, mój skarbie, będzie pani moja, kiedy i gdzie tylko mi się spodoba, i nie powie pani „nie”. Wie to pani tak samo dobrze jak ja. Jest pani stworzona do miłości, a ja będę pani nauczycielem.

Zignorował jej wściekłe spojrzenie i podszedł do drzwi. Nie zatrzymując się, wyszedł.

Corey wstała z łóżka. Była spocona i wyczerpana, tylko zimny prysznic mógł ją uratować.

Gdy wyszła z łazienki, stanęła przed szafą Tiny, by wyszukać sobie odpowiednią suknię na ten wieczór. Brzoskwiniowa, bardzo odważna szyfonowa suknia przyciągnęła natychmiast jej uwagę.

Gdy usłyszała głosy na dole, zaczęła się spieszyć. Ramiona i szyję spryskała perfumami i włożyła suknię. Widok w lustrze zaskoczył ją. Patrzyła z niego piękna, zmysłowa blondynka.

Miała dość jedwabnych sukien i surowo uszytych kostiumów od Diora. Marvin myślał prawdopodobnie, że zawsze tak się ubiera. No, dzisiaj wieczorem się zdziwi. Był zbyt pewny swojego seksualnego oddziaływania na nią. Sądził zapewne, że wystarczy kiwnąć palcem, a ona pójdzie za nim, tak jak wszystkie inne kobiety, które bez wątpienia leżały mu u stóp. Dziś wieczorem pokaże mu, że jest obojętna na jego tak zwany urok. Corey nie miała wątpiwości, że jego pożądanie wzrośnie, gdy tylko na nią spojrzy, ale to była część jej planu, który wymyśliła pod prysznicem. Będzie zmysłowa, prowokująca i urocza, będzie go kusić i flirtować z nim, ale nie da mu możliwości, by kiedykolwiek został z nią sam na sam.

Szybko włożyła kremowe sandaalki na wysokich obcasach. Była teraz o prawie osiem centymetrów wyższa i to też będzie zaletą w jej pojedynku z panem Riordanem.

Corey zeszła po schodach do salonu i stanęła jak wryta, gdy zobaczyła Marvina stojącego przy barze i nalewającego sobie drinka.

Stała i obserwowała go przez chwilę. Nie słyszał, że przyszła, bo gruby dywan stłumił jej kroki. Miał na sobie czarne wieczorowe ubranie, tak czarne jak jego włosy opadające na kołnierzyk koszuli. Znowu pojawiło się to

osobliwe uczucie. Wezbrało w niej pożądanie, poczuła, że ma zupełnie miękkie kolana. Nagle Marvin odwrócił się i zobaczył ją. Podniósł szklankę do ust, jego oczy nie zdradzały niczego, gdy lustrował ją od stóp do głów.

W końcu z uśmiechem uznania uniósł szklankę w jej stronę. - Moje gratulacje - powiedział. - Udało się pani wyglądać jak kombinacja pięknej Heleny i bogini łowów Diany. Teraz chętnie bym się dowiedział, kogo ma pani zamiar upolować, nie żebym miał szansę oprzeć się pani.

- Zaśmiał się cicho.

- Co w tym takiego śmiesznego, Marvin? - spytała niewinnie.

- Może nie podoba się panu moja suknia? - Uśmiechnęła się do niego słodko.

Marvin odwrócił się, by zrobić jej drinka. - Przypuszczałem chyba, że wybierze pani trochę bardziej konserwatywną suknię - powiedział po krótkiej przerwie.

Corey upiła łyk ze szklanki i usiadła. Uśmiech Marvina i wiele obiecujące spojrzenie niepokoiły ją. - Niech pan mi powie, Marvin, od dawna zna pan Maggie i Dana? Przez te wszystkie lata nigdy o panu nie mówili.

Chyba wyczuł, jak bardzo zależy jej na zmianie tematu. Podeszedł do niej i usiadł naprzeciwko.

- Znam ich oboje od około trzech lat. Zawsze gdy jestem służbowo w Denver, mieszkam u nich. Poznałem Dana, gdy leciałem z nim trzy lata temu z Denver do Durango, gdzie mieszkam.

Corey spojrzała na niego badawczo. Opalona twarz i drobne zmarszczki wokół oczu zdradzały człowieka, który dużo czasu spędzał na świeżym powietrzu. Uśmiechnął się do niej, jakby czytał w jej myślach.

- Z Jimem, moim młodszym bratem, mam rancho owiec w pobliżu Durango. Tam jest przepięknie. Urodziłem się i wyrosłem tam i tam chcę też spędzić schyłek mojego życia. Będę siedzieć na werandzie i oglądać zachody słońca... - Przerwał, jakby uznał, że powiedział o sobie zbyt dużo.

- A co robi taka ładna dziewczyna jak pani, - która najwidoczniej wyrosła w kostiumach Diora? I niech pani nie próbuje opowiadać mi, że ma pani całkiem normalną pracę jak każda dziewczyna, od dziewiątej do piątej.

Corey uniosła brodę. - No, wygląda na to, że znowu się pan co do mnie pomylił. Pracuję jak każdy inny. I to nawet w biurze.

Zanim zdążył odpowiedzieć, Maggie i Dan weszli do salonu. Gdy Dan zobaczył Corey, stanął jak wryty.

- Corey, mój skarbie, cóż to za suknię masz na sobie? Maggie, pozwoliłaś Tinie kupić taką suknię? - Ze zdziwienia uniósł brwi, gdy jego żona zaśmiała



się głośno. - Uspokój się, Dan. Włożyła ją tylko raz. Gdy ją w niej zobaczyłam, musiała ją odwiesić z powrotem do szafy. Ale muszę przyznać, Corey, że ty wyglądasz w niej naprawdę wspaniale. O wiele lepiej niż w surowych kostiumach, które zwykle nosisz.

Corey wręczyła Danowi swoją szklanę, by nalał jej następnego drinka. Próbowła przy tym unikać kpiącego wzroku Marvina. Uśmiechnęła się do Dana i próbowała skierować rozmowę na inne tory. Może z tą suknią rzeczywiście posunęła się za daleko.

Szybko wypila drugą szklanę szkockiej. Zwykle unikała mocnych trunków i trzymała się raczej białego wina. Gdy wstała, poczuła lekki zawrót głowy, jej żołądek też zareagował na alkohol.

- Czy nie powinniśmy już wyjść? Nie mogę się doczekać zobaczenia tej nowej restauracji. - Zmusiła się, by stać spokojnie, kiedy poczuła dłonie Marvina na nagich ramionach, gdy otulał ją, szalem. Dotknięcie było krótkie, ale potem jego ciepły oddech prześliznął się po jej uchu, gdy szepnął: - Ten szal będzie pani potrzebny. Ktoś zapomniał przyszyć plecy do pani sukni. - Corey odsunęła się szybko. Jeszcze gdy szła obok Maggie przez korytarz, wydawało jej się, że słyszy jego ironiczny, cichy śmiech.



## ROZDZIAŁ 6

Jazda do miasta nie trwała dłużej niż dwadzieścia minut, ale dla Corey, która siedziała na tylnym siedzeniu BMW obok Marvina, było to jak całe godziny. Marvin nie mówił wiele, ale jego bliskość w tej ciasnej przestrzeni i zapach jego wody po goleniu niepokoiły ją. Westchnęła z ulgą, gdy Dan skręcił na duży parking przed restauracją i mogła wysiąść. Wnętrze restauracji było słabo oświetlone i grała cicha muzyka. Kierownik sali zaprowadził ich do stolika i skłonił się przed damami. Corey rozejrzała się po przestronnej sali.

Po chwili podano szampana i Dan wznosił toast. - Zdrowie Corey i Marvina, naszych przyjaciół, i mojej żony Maggie, dla której jest to dzisiejsze przyjęcie.

Corey uśmiechnęła się do Maggie i upiła łyk szampana. Jeszcze nie doszła do siebie po dwóch szklaneczkach szkockiej. Ciemne pomieszczenie wyłożone czerwonym aksamitem i złotymi zdobieniami, łagodne światło żyrandoli, obecność Marvina przyprawiały ją o zawrót głowy. Jej kolana drżały lekko i Corey miała uczucie, jakby skóra paliła ją w miejscach, których przedtem dotykał Marvin, Szybko opróżniła kieliszek i wręczyła go Danowi, by dolał jej szampana.

- Za Maggie i Dana... i za twoją niespodziankę, Maggie! - Poczowała, jak Marvin ją obserwuje, gdy kelner podszedł do stolika i wręczył im menu. Szybko schowała się za kartą i próbowała rozszyfrować słowa, które zdawały się rozpląwać przed jej oczami.

W końcu zdecydowała się na Sole Véronique, pozostali wybrali Duck L'Orange i Veal Antoniette. Zaskoczona usłyszała, jak Marvin płynną francuszczyzną zamawia Trutte-Au Bleu, błękitnego pstrąga z truflami. Gdy poczuł jej pełne niedowierzania spojrzenie, odwrócił się do niej, uśmiechnął i wzruszył ramionami. - Najlepsze pstrągi są w strumieniach górskich wokół Durango. I tak, choć najwidoczniej panią to dziwi, mówię po francusku.

Corey uśmiechnęła się ironicznie. - Zupełnie nie wygląda pan na kowboja z owczego rancha.

Do kolacji podano wyśmienite wino i Corey poczuła, że się odprężyła. Dan opowiedział kilka historyjek, które przydarzyły mu się jako pilotowi, a Marvin opowiadał o życiu na ranchu.

Po kolacji znowu podano szampana i Corey wypiła o wiele więcej niż zwykle. Potrzebowała tego, bo z upływem czasu Marvin stawał się coraz bardziej szarmancki. Z rosnącym rozbawieniem słuchała, jak Maggie co

chwilę pyta Dana o zapowiedzianą niespodziankę, ale Dan ciągle odsuwał to na później.

Nagle Corey poczuła, jak podłoga porusza się pod jej stopami. Wszystkie stoliki zostały hydraulicznie podniesione, by umożliwić gościom lepszy widok na parkiet taneczny. Na suficie pojawiła się duża kryształowa kula, która obracała się powoli, dając różnobarwne refleksy świetlne. Muzyka w tle stała się głośniejsza i zapraszała do tańca.

- Cały czas na to czekałem - powiedział Dan i zaśmiał się. - To nie tylko wykwintna restauracja, od dziewiątej wieczorem zamienia się w nocny klub. W pierwszej godzinie grają muzykę dla trochę starszych roczników, a potem te kawałki, które tak lubią Tina i Jeff. Pomyślałem, że to się wam spodoba. Maggie, skarbie, zatańczysz ze mną? - W jego oczach promieniało uczucie do Maggie, które wiązało ich przez te wszystkie lata. Maggie wstała i poszła za nim na parkiet. Corey i Marvin pozostali sami.

- Są przepiękną parą - stwierdził Marvin, nalewając szampana. - Niestety, takie pary nie zdarzają się często. W dzisiejszych czasach rozwody są niemal częstsze niż śluby.

Corey łyknęła szampana. - Co pan o tym wie? Nie jest pan przecież żonaty... ale prawdopodobnie woli pan polowanie na coraz to nowe kobiety!

Marvin spojrzał na Maggie i Dana, którzy tańczyli objęci, rozmawiając przy tym cicho. - Może jeszcze nie spotkałem właściwej kobiety i ciągle prowadzę poszukiwania... nie polowanie.

Corey uśmiechnęła się i opróżniła kieliszek. Coraz bardziej traciła kontrolę nad swoimi słowami. - Nie, Marvin. Pan po prostu nie chce się wiązać. I niech mi pan nie opowiada, że tęskni pan do kobiety, która siedzi w domu, gotuje dla pana, troszczy się o pana i trzepocze rzęsami, gdy pogłaszcze ją pan po głowie.

Odwrócił się do niej i spojrzał na nią badawczo. - Ach, teraz panią rozumiem. Nadal pani sądzi, że jestem męskim szowinistą, a ponieważ pani jest naturalnie wyemancypowaną kobietą, która koncentruje się całkowicie na swojej karierze, nigdy nie odważyłaby się pani zamieszać łyżką w garnku. Niech pani powie, czy umie pani gotować, Corey?

Zaskoczył ją swoim pytaniem i bez zastanowienia odpowiedziała zgodnie z prawdą; - Nie, nie umiem nawet ugotować wody. Szycia nienawidzę, a robienie na drutach śmiertelnie mnie nudzi. - Uśmiechnęła się do niego przebiegle. - Czy to wystarczająca odpowiedź na pańskie pytanie, panie Riordan?

- Och, z pewnością, Corey, mój skarbie. Ale jest mnóstwo innych rzeczy, których jeszcze wczoraj pani nie umiała, a dziś już się nauczyła. Ma pani zdolność szybkiego uczenia się i jestem pewien, że nauczyłaby się pani również gotowania i szycia, gdyby tylko pani zechciała. - Gdy po błysku w jej oczach poznał, że bardzo dobrze go rozumiała, roześmiał się.

Corey spuściła wzrok. - No, nie musi się pan martwić o moje błędy czy braki, Marvin. Ja wcale nie muszę gotować ani szyc. Jestem bowiem piekielnie bogata i mam ludzi, którzy robią za mnie te rzeczy! - Podniosła kieliszek. Spojrzenie Marvina stało się nieprzeniknione, jakby wiedział, że się z niego nabija.

Właśnie w tym momencie Maggie i Dan wrócili do stolika i pozbawili go tym samym możliwości udzielenia, odpowiedzi. Dan złapał Corey za rękę. - Teraz twoja kolej, mój skarbie - powiedział i pociągnął ją na parkiet.

Tańcząc z Danem obserwowała Marvina i zobaczyła, jak wstaje i nachyla się nad Maggie, jakby prosił ją do tańca. Jednak Maggie potrząsnęła przecząco głową i wachlowała się ręką, by ochłonać po tańcu z Danem.

Potem Dan zaczął obracać Corey w tańcu, tak że nie mogła już widzieć tamtych dwojga. Teraz zauważyła, że szampan zaczął działać, bo światła zdawały się wirować wokół niej. Gdy wróciła z Danem do stolika, zastali tam tylko Maggie.

- Gdzie jest Marvin? - spytał Dan.

- Zobaczył stara, przyjaciółkę i poszedł się z nią przywitać. - Maggie wskazała ręką na parkiet.

Corey usiadła i spojrzała w kierunku wskazanym przez Maggie. Gdy zobaczyła przytuloną w tańcu parę, osłupiała i poczuła, jak wzbiera w niej zazdrość. Młoda kobieta w sukni ze srebrnej lamy i o płomiennie rudych włosach przytulała się do Marvina. Corey zacisnęła usta, gdy zauważyła, że ci dwoje w ogóle nie ruszali się z miejsca, tylko kołysali się w takt muzyki.

Muzyka ucichła, a Marvin odprowadził młodą kobietę na miejsce i wrócił do stolika.

- Przepraszam, Dan. Spotkałem starą przyjaciółkę i chciałem się z nią przywitać - usprawiedliwił się.

- W porządku, Marvin. - Dan machnął ręką. - Już się zrobił tłok na parkiecie. Pewnie zaraz zaczną grać muzykę disco.

Corey w milczeniu wpatrywała się w swój kieliszek. Gdy podniosła wzrok, napotkała spojrzenie Marvina.

- Tak, na parkiecie musi być rzeczywiście duży tłok - powiedziała ironicznie. - Ma pan nawet szminkę na ustach, Marvin.

Udał, że nie słyszy jej uwagi. - Czy mogę poprosić panią do tańca, Corey? - spytał cicho. Nie mogła mu odmówić, nie będąc zarazem niegrzeczną, więc wstała i poszła z nim na parkiet. Objął ją ramionami i przyciągnął mocno do siebie, prowadząc ją w takt miłosnej piosenki. Zdawało jej się, że skóra pali ją tam, gdzie jej dotykał. Corey oparła jedną rękę na jego ramieniu, podając mu drugą. Jednak po kilku sekundach Marvin przeniósł jej rękę na swoją szyję. Potem obiema dłońmi objął ją w talii i przyciągnął ją jeszcze bliżej do siebie. Nie mogła mu teraz robić sceny, więc ustąpiła.

Zamknęła oczy i oparła głowę na jego piersi. Mocne, regularne bicie jego serca uspokajało ją. Nagle zauważyła, jak jego dłonie ślizgają się po jej nagich plecach, gładzą je, aż poczuła, że ogarnia ją płomień. Jego dłonie powoli powędrowały wyżej, na jej żebra, kciuki zaczęły gładzić jej piersi, wśliznęły się pod cienki materiał jej sukni i dotknęły jej nagiej skóry. Pochylił głowę, a gdy ich usta się spotkały, Marvin jęknął.

- O mój Boże! Przecież pani nic nie ma pod tą suknią! Co do diabła pani ze mną wyprawia, Corey? - Odsunął się trochę od niej, podczas gdy ona spojrzała na niego nieprzytomnie. Muzyka dudniła jej w głowie, a światło raziło w oczy.

Marvin chwycił ją za rękę i pociągnął z powrotem do stolika. Zamknęła oczy i pozwoliła mu się prowadzić.

Maggie i Dan tak byli zajęci sobą, że nic nie zauważyli. Maggie z promiennym uśmiechem rzuciła się mężowi na szyję i uściskała go.

Corey usiadła szybko, chwyciła kieliszek i wypila jednym haustem. Unikała wzroku Marvina.

Uświadomiła sobie, że Dan coś mówi, ale jego słowa nie docierały do niej. Wpatrywała się w niego, starając się czytać z jego ust. Zbyt późno zauważyła, że musi płacić teraz wysoką cenę za to, że tak dużo wypila. W głowie jej dudniło, było jej niedobrze.

- Za Corey Banyon i moją nową pracę! Ciesz się swoim nowym życiem, Corey! - Dan promieniał, a twarz Maggie też była rozświetlona szczęściem. Dan wykorzystał ich nieobecność, by opowiedzieć swojej żonie o niespodziance. Corey musiała zmusić się do uśmiechu, gdy Maggie na nią spojrzała. Wszyscy oprócz Marvina podnieśli kieliszki w toast. W końcu przerwał im głos Marvina: - Corey Banyon? Myślałem, że pani nazwisko brzmi Brown. - Spojrzał na nią zmrużonymi oczami.

Corey dumnie uniosła brodę. Kosztowało ją trochę wysiłku, by mu odpowiedzieć: — Nigdy panu nie powiedziałam, że moje nazwisko brzmi

Brown. Przypuszczał pan tak, bo tak zwróciła się do mnie stewardesa w samolocie.

- Czy jest pani może jakoś spokrewniona z Elizabeth Banyon, szefową Banyon International?

- To właśnie ona! - wtrącił się Dan. - I właśnie złożyła kierownictwo firmy w moje ręce, ponieważ chce sobie zrobić urlop. To była ta niespodzianka, którą miałem dla Maggie. Nie mogliśmy, się doczekać, by jej to powiedzieć!

Jego szeroki uśmiech zniknął i przeszedł w niepewny wyraz twarzy, gdy zobaczył minę Marvina. Marvin wpatrywał się w Corey, w jego spojrzeniu widać było rozczarowanie i chłód. Corey podniosła rękę, by wziąć kieliszek, ale palce Marvina zamknęły się jak stalowe kleszcze wokół jej nadgarstka. - Wybaczcie nam na chwilę - powiedział, zwracając się do Dana i Maggie - Corey miała już za dużo alkoholu i podniecenia na jeden wieczór. Mamy coś do omówienia, co nie może poczekać. - Corey daremnie próbowała uwolnić się z jego uścisku.

- Niech pan mnie puści, Marvin, do diabła. Mam pana dosyć! Chcę się bawić i tańczyć jak wszyscy inni. Nie ma mi pan nic do rozkazywania!

Odwrócił się, a Corey osłupiała pod jego zimnym spojrzeniem. - Dowie się pani, młoda damo, że mam pani bardzo dużo do rozkazywania!

Nagle Corey poczuła, że Marvin ją puścił. Jakiś młody, jasnowłosy mężczyzna, który już przedtem się do niej uśmiechał, prowadził ją na parkiet.

- Pomyślałem, że ma pani ochotę zatańczyć! - powiedział, przekrzykując głośną muzykę. - Poczekalem ha właściwy moment, by panią uwolnić. Ten facet chyba za dużo sobie pozwalał.

Corey odwróciła się i stwierdziła, że Marvin z wyrazem wściekłości na twarzy idzie przez salę w jej kierunku. Po prostu odsuwał na bok innych tancerzy, by do niej dotrzeć, więc Corey spiesznie podążyła za swoim młodym wybawcą. Ale nagle uścisk jego ręki rozluźnił się, tańczący ludzie wśliznęli się między nich.

Corey rozejrzała się rozpaczliwie, ale nie mogła go dostrzec w tłumie roześmianych tańczących par. Sala zaczęła kręcić się wokół niej, nagle poczuła kłujący ból w głowie i w oczach. Zasłoniła dłońmi twarz i jęknęła, muzyka dudniła jej w głowie i wszystko zdawało się wirować wokół niej. Z rozpaczą rozejrzała się, wypatrując Marvina, który szedł w jej stronę. - Marvin... Marvin... - zawołała, a potem upadła... osuwając się powoli w aksamitną ciemność.



## ROZDZIAŁ 7

Corey unosiła się, falowała na czarnym morzu bez bólu i zupełnie spokojnie. Jej ciało było ciężkie od snu, gdy z oddali usłyszała jakieś dźwięki... najpierw ciche, potem coraz głośniejsze, aż w końcu przeniknęły do jej świadomości.

Chciała zaprotestować, nie chciała wynurzyć się z tego spokojnego świata, a te dźwięki były coraz bardziej natarczywe. Nie mogła mówić, jej usta były wysuszone, ręce i nogi tak ciężkie, że nie mogła się poruszyć. Rozpaczliwie próbowała otworzyć oczy, ale powieki miała ciężkie jak z ołowiu.

Tylko jej uszy zdawały się funkcjonować normalnie. Coraz głośniejsze i wyraźniej słyszała dźwięki, w końcu była w stanie rozróżnić głosy mężczyzny i kobiety, którzy kłócili się cicho. Westchnęła głęboko, potem jednak ustąpiła pragnieniu ciała i wpadła w swego rodzaju półsen, w którym ciągle jeszcze do jej świadomości przenikał głos kobiety.

- Marvin, to przecież śmieszne! Nie możesz przez całą noc siedzieć przy jej łóżku. W ogóle nie spałeś i jesteś wyczerpany! To przecież nie ma sensu! Załatwię prywatną pielęgniarkę i zawołamy cię, gdy ona się obudzi. Zupełnie nie rozumiem, dlaczego ten przypadek jest o tyle ważniejszy niż wszystkie inne w przeszłości! - W głosie kobiety brzmiała złość i Corey próbowała usunąć ten głos ze swojej świadomości. Ale zaraz usłyszała inny głos, głos, który był jej znany, pełen ciepła i siły. Dawał jej poczucie bezpieczeństwa, przypominał o uczuciach i namiętności. Rozpaczliwie próbowała otrząsnąć się z letargu, w który wpadała, próbowała nawiązać kontakt z nim - z Marvinem.

- Dość tego, Rita. Zostanę tutaj. A teraz wyjdź stąd i spróbuj złapać trochę snu. Potrzebujesz go co najmniej tak samo, jak ja! - Jego głos brzmiał zdecydowanie i pewnie i gdyby Corey nie była tak zajęta zastanawianiem się, dlaczego ci dwoje rozmawiają o niej, pewnie odczułaby współczucie dla tej kobiety, bo tak opryskliwie się do niej zwracał. Znowu zapadła w sen, jednak słyszała jeszcze, jak z cichym trzaskiem zamknęły się za nią drzwi.

Wydawało jej się, że nie minęło wiele czasu, gdy znów się obudziła. Tym razem już trochę lepiej panowała nad swoim ciałem, mogła lekko odwrócić głowę w bok, jednak jej ręce nadal pozostawały unieruchomione. Z daleka słyszała jakieś szelesty, a także ciche głosy. Z dużym wysiłkiem udało jej się przełknąć ślinę, oczy też była już w stanie trochę otworzyć.

Spojrzała na coś, co błyszczało nad jej głową jak kryształowa kula. Walczyła zaciekle z uczuciem zmęczenia, z potrzebą zamknięcia oczu i odpinięcia w niebyt. W końcu uświadomiła sobie, że patrzy na butelkę, z

której do żyły na jej ramieniu płynął powoli jakiś roztwór. Dlatego więc nie mogła poruszyć ręką. Odwróciła głowę, także w drugiej ręce tkwiła igła z rurką. Rozejrzała się bezsilnie po ciemnym pomieszczeniu, aż w końcu cichy szmer w pobliżu okna zwrócił jej uwagę.

Marvin leżał w fotelu i spał. Nogi miał wyciągnięte, ręce skrzyżowane na piersi, głowa opadła na oparcie fotela.

Corey próbowała zawołać go, ale z jej ust nie wydobył się żaden dźwięk. Jego obraz powoli rozplątał się przed jej oczami i znowu zasnęła, dziwiąc się tym osobliwym snom... co się stało z tą głośną muzyką i śmiechem tańczących. On był tu przy niej... sam... i zupełnie przestała się bać.

- Corey... Corey! Obudź się! Do diabła, otwórz wreszcie oczy! - Jego głos był taki natarczywy, ale nie chciała mu ustąpić, chciała tylko spać. Poczula, jak bierze jej twarz w dłonie, ale tym razem nie po to, by ją pieścić, coś zdawało się go rozwścieczać.

- Marvin, może jeszcze za wcześnie... nie zmuszaj jej tak. Może później... - Corey rozpoznała głos wuja Matta.

- Do diabła z „później”. To ten cholerny szampan. Gdybym tylko wiedział, kim ona jest, powstrzymałbym ją od picia. Corey, obudź się i spójrz na mnie! - rozkazał.

Corey potrzebowała wszystkich sił, by otworzyć oczy. Teraz w pokoju było jasno, chociaż rolety były jeszcze do połowy opuszczone. Światło raziło ją w oczy, mruknęła słowa protestu i odwróciła głowę, ale Marvin zmusił ją, by na niego spojrziała.

Corey zamrugała oczami i próbowała zrozumieć, dlaczego jest tutaj i dlaczego on patrzy na nią z takim zatroskaniem. Zupełnie nie mogła uwierzyć, że cokolwiek na świecie mogłoby martwić Marvina.

- Corey, widzisz mnie? Corey, spójrz na mnie... wiem, że jesteś zmęczona i zaraz pozwolę ci znowu zasnąć. Widzisz mnie? - Jego głos brzmiał tak natarczywie, że powoli skinęła głową. Natychmiast ją puścił i ostrożnie ułożył jej głowę z powrotem na poduszce. Potem skinął na kogoś.

- Corey, czy wiesz, kto to jest? Zdawał się ze strachem czekać na jej odpowiedź i Corey zmieszana zmarszczyła czoło. Odchrząknęła, przełknęła ślinę i spytała: - Wujku Matt, dlaczego jesteś tutaj? - Zobaczyła jeszcze jego uśmiech, potem jej oczy znowu się zamknęły i zasnęła.

Sen... naturalnie, to wszystko było tylko snem. Kręciła się niespokojnie, próbując ułożyć się wygodniej. Bolał ją każdy miesiąc, a gdy spróbowała położyć rękę na bolącej głowie, jęknęła cicho. Potem jednak z przerażeniem otworzyła oczy. Jej głowa była obandażowana, od czoła aż po kark. Corey

leżała z drżącymi wargami i próbowała stłumić łzy. Teraz wiedziała, że jest w szpitalu i była operowana, ale nie mogła sobie przypomnieć, jak tu dotarła. Ogarnęła ją panika, z rozpaczą szukała guzika dzwonka, by wezwać jakąś siostrę... kogoś, kto mógłby jej powiedzieć, co się stało i jak tu dotarła. Nagle drzwi się otworzyły i do pokoju wpadł Marvin. Spojrzała na niego z niedowierzaniem, a potem syknęła: - Co pan tu robi? I dlaczego wpada pan tak do mojego pokoju, jakby należał do pana cały szpital? I gdzie są Dan i Maggie? Co się w ogóle stało? - Wyczerpana opuściła z powrotem głowę na poduszkę, gdy powoli podszedł do jej łóżka i uśmiechnął się do niej.

- Aha, więc znowu jest pani zgryźliwa, co, Corey? Aby zmusić panią do uległości, trzeba czegoś wielkiego, prawda? - Wszystkie oznaki wyczerpania i zmęczenia zniknęły z jego twarzy... a może rzeczywiście tylko jej się śniło, że spał na fotelu w jej pokoju?

- Chciałabym wiedzieć, co się stało! Chciałabym rozmawiać z lekarzem lub z kimś, kto może mi powiedzieć, dlaczego jestem w szpitalu. - Przycisnęła guzik i natychmiast w pokoju pojawiła się pielęgniarka.

Corey wpatrywała się w nią bez słowa; to była ta sama zapierająca dech rudowłosa, z którą Marvin tańczył w restauracji. Jej głos Corey też od razu rozpoznała - to był ten sam głos, który słyszała w snach w rozmowie z Marvinem.

- Czy mogę coś dla pani zrobić, panno Banyon? - spytała uprzejmie. Nawet uniform pielęgniarki nie mógł ukryć wspaniałej linii jej ciała.

Corey skrzywiła się. - Chciałabym rozmawiać z lekarzem... natychmiast! - Wściekle wpatrywała się w Marvina, a potem spojrzała z powrotem na siostrę, która najpierw wyglądała na zmieszaną, ale potem uśmiechnęła się uprzejmie. - Obawiam się, że nie całkiem rozumiem, panno Banyon. - Spojrzała pytająco na Marvina, który podparł się rękami pod boki i patrzył w sufit.

W końcu westchnął i odwrócił się. - Już dobrze, Rita. Wyjaśnię wszystko pannie Banyon.

Rudowłosa spojrzała na niego z podziwem, potem skinęła i wyszła z pokoju.

- I cóż pan chce wyjaśnić pannie Banyon, Marvin? - spytała Corey nieufnie. - Czy wie pan, kto mnie operował? Byłam przecież operowana, prawda? - Spojrzała na Marvina i obserwowała go przez chwilę uważnie, bo miała niejasne uczucie, że stało się coś ważnego, a ona była tego częścią. I że Marvin też miał z tym coś wspólnego.

Znowu westchnął, a potem odgarnął włosy z czoła. - Tak, była pani operowana, Corey. Nie mieliśmy innego wyboru. Natychmiast po pani upadku przywieźliśmy panią tutaj i decyzja o operacji też została podjęta natychmiast.

Corey skubała kołdrę. Dlaczego nie może sobie nic przypomnieć? - Ale skąd wiedziano, co mi się stało? - spytała cicho.

Marvin usiadł na łóżku i wziął ją z uśmiechem za rękę. - Obawiam się, że od początku mieliśmy zły start, Corey. Ja myślałem, że pani jest Corey Brown, a pani myślała, że ja jestem John Marvin... - Potrząsnął głową. - Nie wiedziała pani, kim jestem, gdy usłyszała pani w domu Dana moje prawdziwe nazwisko, prawda?

Corey potrząsnęła głową.

- Gdy ubiegłej nocy została pani tu przywieziona, był tylko jeden człowiek, który wiedział, co pani jest.. a był to neurochirurg, u którego miała pani dzisiaj umówioną wizytę.

- Ale jakim sposobem on był tutaj, gdy mnie przywieziono? - przerwała mu. - To przecież był nagły wypadek.

Marvin zaśmiał się. - Przyjechał razem z panią. - Corey spojrzała na niego szeroko otwartymi oczami, gdy zaczęła powoli rozumieć, co on próbuje jej wyjaśnić.

- Pan? Pan jest neurochirurgiem, do którego skierował mnie doktor Johnston? Ale przecież ja nie wiedziałam... Myślałam, że jest pan właścicielem rancho owiec w pobliżu Durango!

- No, to też się zgadza. Powiedziałem pani przecież, że rancho należy do mnie i do mojego brata Jima. Ale gdy nie jestem na ranchu, to jestem diabelnie dobrym neurochirurgiem.

Nagle zmęczenie zaczęło znowu zwyciężać nad Corey. - Więc to wszystko, co wydawało mi się ostatniej nocy snem, było prawdą - powiedziała. - Siedział pan całą noc przy moim łóżku. I wuj Matt też był tutaj. - Opadła z powrotem na poduszkę i zamknęła oczy. Za dużo było dla niej tego wszystkiego.

- Przykro mi, Corey - szepnął Marvin. - Gdy wczoraj wieczorem dowiedziałem się, kim pani naprawdę jest, próbowałem panią powstrzymać przed piciem szampana. Wiedziałem, że alkohol i cały ten hałas to dla pani zbyt wiele, ale mi pani uciekła. I także alkohol jest powodem, dlaczego potrzebowała pani tak dużo czasu, by obudzić się z narkozy. Już myślałem, że po tak dużej ilości alkoholu nie przetrzyma pani narkozy.

- Dlatego próbował mnie pan obudzić? - spytała, otwierając znowu oczy.

- Tak, chciałem się upewnić, że wszystko jest w porządku. A pani też nikomu nie powiedziała, co pani dolega. Ale już minęło i wszystko poszło dobrze. Musi pani teraz tylko odpocząć w jakimś spokojnym miejscu.

- Co pan ma na myśli? - spytała nieufnie.

- Ach, nic szczególnego, Corey - powiedział szybko. - Niech pani śpi. Potrzebuje pani teraz przede wszystkim dużo spokoju, a ja już się zatroszczę o to, by go pani miała.

Otworzyła usta, aby zaprotestować, ale Marvin podniósł rękę w obronnym geście. - Zalecenie lekarskie, Corey, zalecenie lekarskie!

- Marvin... - szepnęła Corey cicho - Marvin, czy obciął mi pan włosy?

Poczuła jego ciepły oddech na swojej twarzy, gdy pochylił się nad nią. - Tak, mój skarbie... ale niech się pani nie martwi, nie zostanie nawet blizna, tak ostrożnie pracowałem. A włosy już wkrótce odrosną. - Pocałował ją łagodnie w usta. Corey z uśmiechem zamknęła oczy.

- Marvin? - Myślała, że już poszedł, ale jego głos zabrzmiał dziwnie blisko, gdy jej odpowiedział. - Tak, Corey?

- Ona jest bardzo ładna... ta pańska rudowłosa.

Uśmiechnął się. - I bardzo utalentowana. Przedstawię ją pani, gdy się pani obudzi, Corey, mój skarbie.

Corey westchnęła. Wydawał się tak dobrze znać tę rudowłosą i bardzo ją cenił. - Niech pan się nie trudzi - mruknęła jeszcze, a potem zasnęła.



## ROZDZIAŁ 8

- Proszę się obudzić, panno Banyon. Jest już ranek, teraz panią umyję, żeby się pani trochę lepiej poczuła.

Przed otwierającą powoli oczy Corey stała miła kobieta o matczynym wyglądzie.

- Moja głowa... czuję się, jakby ktoś walił w nią młotem. Gdzie jest Marvin? - zapytała.

- Wszystko po kolei, moja droga. Na pani bóle mam lekarstwo, ale doktor Riordan waha się, czy je pani dać, zanim przewycięży pani kaca - uspokajała ją siostra.

- Kaca? - oburzyła się Corey. - Właśnie miałam operowaną głowę, a on ma czelność opowiadać, że mam kaca? - Spojrzała z niedowierzaniem na siostrę, która zaśmiała się, rozbawiona jej słowami.

- Tak, panno Banyon. Obawiam się, że cierpi pani z powodu skutków szampana, który piła pani przed operacją. Po operacji głowy bóle nie są zwykle tak silne, poza małą blizną na głowie w miejscu szycia. Prawdopodobnie boli panią raczej okolica czoła, zgadza się?

Corey skinęła powoli. Przypomniała sobie to, co mówił Marvin... kiedyż to on był u mej... coś o szampanie i narkozie. To wszystko wydawało jej się już tak dawno i nie mogła sobie przypomnieć, o czym z nim rozmawiała. Była tak zmęczona, chyba jej się tylko śniło, że ją pocałował?

Uśmiechnęła się do siostry przepraszająco. - Przykro mi, to wszystko poszło tak szybko. Nie chciałabym sprawiać kłopotów, pani...?

Korpulentna kobieta podeszła do łóżka i uniosła trochę poduszkę. Z jej niebieskich oczu biła czujność i uczciwość.

- Tanner, moja droga, ale wołałabym, żeby nazywała mnie pani Anną. W następnych tygodniach spędzimy ze sobą mnóstwo czasu.

- Przeszła do położonej obok łazienki i przyniosła miskę z gorącą wodą, którą postawiła koło łóżka.

Corey westchnęła, a potem powierzyła się całkowicie trosce tej kobiety, która myła ją ciepłą wodą. Nadal była senna, ale tak wiele pytań pojawiało się w jej głowie. Wszystko wydawało się takie nierzeczywiste. Poznała Marvina w samolocie, poczuła silny pociąg do niego, zobaczyła go znowu u Maggie i Dana, a gdy go pilnie potrzebowała, był przy niej... jedyny człowiek w Denver, który wiedział, co jej dolega. Co on takiego powiedział? Fatum... przeznaczenie...

Gdy umyła zęby, spojrzała na Annę z wdzięcznością. - To mi dobrze zrobiło. Teraz już czuję się bardziej sobą.

Anna poprawiła jej poduszkę. - Wygląda też pani teraz o wiele lepiej. Jest pani jeszcze wprawdzie bardzo blada, ale to też się wkrótce zmieni.

Corey skrzywiła się, gdy spojrzała w dół i zobaczyła szpitalną koszulę.

- Czy muszę to mieć na sobie? Wystarczy mi już, że moja głowa jest obandażowana. Ale w tej koszuli wyglądam już zupełnie jak mumia. Czy mogłabym trochę umalować usta?

Pani Tanner rozpromieniła się, a po chwili pojawiła się z delikatną, brzoskwińską koszulą nocną i włożyła ją Corey przez głowę. - Doktor Riordan uprzedził mnie, że zacznie się pani skarżyć, gdy tylko się pani obudzi! Zostawił to tutaj dzisiaj rano, gdy zaglądał do pani.

- Marvin był już dzisiaj tutaj? - spytała Corey i poczuła lekkie rozczarowanie, że nie został przy niej, aż się obudzi.

Pani Tanner skinęła, a potem zaczęła się krzątać po pokoju, posprzątała i włożyła rzeczy Corey do szafy. - Tak, zostawił wskazówki dotyczące zabiegów wokół pani. Powiedział, że przyjdzie, gdy będzie pani umyta.

Corey zmarszczyła czoło. - I poprosił panią, żeby się pani mną opiekowała? Nie rozumiem tego.

Anna rozpromieniła się. - Tak, panno Banyon, ja pracuję tylko z doktorem Riordanem. W pani przypadku wszystko poszło dość szybko, przyznaję, ale doktor Riordan pracuje tylko z własnym zespołem. Zawsze jeździmy wszyscy tam, gdzie jesteśmy potrzebni. Jestem wdową, odpowiada mi takie życie. Każdy z nas ma w zespole swoje szczególne zadania - od zespołu operacyjnego po siostry. Znamy doktora Riordana i sposób, w jaki pracuje, i wszyscy lubimy swoją pracę. A więc doktor Riordan poprosił mnie, bym się panią zaopiekowała.

Corey zrozumiała, jakie wpływy ma Marvin. Ale wtedy przypomniała sobie jeszcze jedną rzecz i zapytała: - A Rita... co ona robi?

- Ach tak, panna Danvers. Ona jest pierwszą instrumentariuszką i asystentką doktora Riordana. Jest bardzo dobra, ale musi być taka, bo inaczej by jej nie zatrudnił. Znali się już wcześniej, ale ja chyba mówię za datę. Pani musi odpocząć, moja droga. Doktor Riordan nie byłby zadowolony, że denerwuję panią moimi historyjkami.

Corey znowu zasnęła i obudziła się trochę później na dźwięk cichych głosów. Marvin stał obok jej łóżka i rozmawiał z panią Tanner. Jak dobrze wyglądał! Corey leżała cicho i wykorzystała okazję, by dokładniej mu się

przyjrzeć. Uśmiechał się, słuchał siostry i kiwał głową, tylko z rzadka przerywał jej i pytał o coś.

Gdy poczuł badawcze spojrzenie Corey, odwrócił się nagle. Patrzył na nią uważnie, stojąc z zaciśniętymi ustami. Natychmiast zrozumiała, że to jest Marvin, jakiego jeszcze nie знаła, chłodny i profesjonalny, i pierwszy raz w życiu czuła się bezsilna. Wargi jej drżały, daremnie szukała odpowiednich słów.

Podszedł do niej powoli, a na jego ustach igrał uśmiech. - No, no, najwyższa pora, żeby się pani obudziła, Corey. Dlaczego patrzy pani na mnie z takim zdziwieniem? Jak się pani czuje? - Usiadł na łóżku.

- Dziękuję, czuję się dobrze... i ja... tyle panu zawdzięczam, Marvin. Czy wszystko przebiegło dobrze? - Corey spojrzała na niego bojaźliwie, serce waliło jej głośno ze strachu przed tym, co jej odpowie.

- Jeśli chce pani wiedzieć, czy także w przyszłości będzie pani widzieć, to mogę panią uspokoić. Wszystko poszło gładko. Usunąłem z pani mózgu mały odprysk kości, potem zamknąłem dziurę w pokrywie czaszki sztucznym implantem. Teraz musi pani tylko zadbać o to, by mieć dużo spokoju i żeby pani włosy odrosły w te dzikie, jasne loki, które tak mi się u pani spodobały!

Corey spojrzała na Annę Tanner. - Przypuszczam, że Anna powiedziała panu, iż nie byłam zbyt miła. Naprawdę bardzo mi przykro, ale tak bardzo się bałam i nie wiedziałam w ogóle, co się ze mną działo.

Marvin uspokajająco przykrył swoją dłonią jej rękę. - Anna właśnie opowiadała mi, że jest pani anielsko cierpliwa. Zrobiła pani na niej duże wrażenie i upomniała mnie, bym zachowywał się właściwie w pani obecności.

- Ona na pewno dobrze pana zna, Marvin. Prawdopodobnie wie, jak zwykle traktuje pan swoje pacjentki. Cieszę się, że jest blisko mnie, by mnie chronić - powiedziała Corey kpiąco.

Jego oczy zabłyśły, potem jednak sięgnął do kieszeni na piersi i wyjął mały oftalmoskop. - Corey, chciałbym, żeby teraz przez minutę patrzyła pani na ten obraz na ścianie, chcę zbadać pani oczy. - Podszedł bardzo blisko i Corey poczuła jego ciepły oddech na swoim policzku. - Może się pani uważać za szczęściarę, że Anna jest w pokoju, w przeciwnym razie pocałowałbym panią, aż by mnie pani prosiła, żebym przestał, moja mała dzikusko. - Powiedział to szeptem, by Anna nie usłyszała, ale nie zmniejszyło to działania tych słów na Corey.

Gdy zakończył badanie, odsunęła się trochę od niego. - Wszystko wygląda dobrze, Corey - uspokoił ją. - Za parę tygodni będzie pani mogła stąd wyjść.

- Dziękuję - odparła. - A kiedy będę mogła znowu pracować? - Marvin wstał i podszedł do okna. Ze zmarszczonym czołem poprosił Annę, by zostawiła ich samych. Potem ze skrzyżowanymi na piersiach rękami odwrócił się do Corey.

- A co zamierza pani robić? - spytał łagodnie.

- No, jak to, mam pracę, ponoszę odpowiedzialność za Banyon Airlines, przecież pan to wie, a jeśli znowu jestem zdrowa, to nie ma przecież powodu, żebym nie mogła podjąć pracy.

Marvin skinął z wahaniem. - O tak, Dan opowiedział mi wszystko o pani planach... "i Matt Hanson także. Ale ich relacje zupełnie nie zgadzają się z tym, co pani mi teraz opowiada. Matt wiedział, dlaczego jedzie pan do Denver, ale Dan... no tak, Dan sądzi, że przekazała mu pani odpowiedzialność za firmę. On i Maggie są tym rzeczywiście zachwyceni. A więc zupełnie nie widzę dla pani możliwości powrotu na stare stanowisko, Corey. To, co pani powiedziała na ten temat Danowi, wydaje mi się całkiem rozsądne. Rzeczywiście powinna się pani trochę rozejrzeć po naszym pięknym kraju i pilnie potrzebuje pani spokoju.

- Co pan właściwie zamierza, doktorze Riordan? - spytała Corey ostrożnie.

- Nie może mi pan przecież dyktować, co mam robić ze swoim prywatnym życiem.

Marvin wstał z westchnieniem i spojrzał na nią. - Obawiam się, że mam pani mnóstwo do dyktowania na temat pani przyszłości, Corey, bo gdyby mnie nie było, to dla pani nie byłoby już żadnej przyszłości. A w moich stronach jest stare indiańskie przysłowie: „Jeśli uratowałeś człowiekowi życie, to należy on na zawsze do ciebie”. A więc jest mi pani winna mnóstwo, Corey, i zadbam o to, by robiła pani tylko to, co jest najlepsze dla pani, a także dla pani otoczenia. Nie chciałbym, żeby obraziła pani Dana, a to z pewnością pani zrobi, jeśli znowu wróci pani i do swojej pracy.

Corey usiadła na łóżku i patrzyła z wściekłością na Marvina. - Zapłacę panu, doktorze Riordan. Niech mi pan powie, ile żąda pan za tę operację, ale z pewnością nie pozwolę, by mówił mi pan, co mam począć z moim życiem! i

Uśmiechnął się. - Powiem pani, czego żądam za operację, Corey, mój skarbie, kiedy przyjdzie na to czas, ale teraz będzie pani słuchać moich zaleceń. Matt Hanson w pełni zgadza się z moimi planami, do niego nie może się więc pani zwrócić, jeśli będzie pani szukać wsparcia. Teraz potrzebuje pani przede wszystkim spokoju i zadbam o to, by ten spokój pani miała. Za dwa tygodnie jadę na moje rancho w Durango i zabieram panią ze sobą.

Corey siedziała przed lustrem w szpitalnym pokoju i przyglądała się swojemu odbiciu. Wyglądała dokładnie tak samo, jak przed operacją dwa tygodnie temu, może nawet jeszcze lepiej. Ciemne cienie pod jej oczami j zniknęły, trochę przytyła. Szybko się umalowała, a potem podziwiała rezultat. Z lustra patrzyła dawna Corey Banyon, zdecydowanie trochę niechętnie. Niechętnie, bo nic nie mogła począć ze swoimi włosami.. Otaczały jej głowę jak miękki puch i musiała czekać, aż znowu odrosną

Corey skrzywiła się i sięgnęła po jedwabne chusty, które kupiła dla niej Maggie. Chustki i kapelusze były i tak w modzie, a ona już zadba o to, by nikt nie zobaczył jej bez takiej chustki. Może nawet wykreuje: własny styl.

Gdy owijała chustkę wokół głowy, pomyślała znowu o minionych, tygodniach. Marvin nie widywała w tym czasie zbyt często, poza codziennymi wizytami. Najgorsze było naturalnie to, gdy zdjął jej bandaż i wyciągał szwy. Corey starała się unikać przy tym jego wzroku, jak zahipnotyzowana wpatrywała się w jeden punkt na jego piersi, podczas gdy on pracował ostrożnie i szybko. Z pewnością, wyglądała strasznie i musiała wziąć się w garść, by nie wybuchnąć płaczem. Ale jakoś to przetrzymała, nie chciała dać Marvinowi tej satysfakcji, by zobaczył jej słabość.

Dźwięk głośnego gongu przywrócił Corey do rzeczywistości. Potrząsając głową, pomyślała, jak wuj Matt, Dan i Maggie przekonali ją w końcu, że Marvin miał rację. Zwyciężył, a ona jedzie z nim do Durango. Chociaż stale zapewniała, że doskonale da sobie radę sama, wszyscy sprzysięgli się przeciwko niej i logicznymi argumentami zniweczyli wszystkie jej wątpliwości.

Pojedzie więc z Marvinem, będzie gościem na jego farmie, ale nigdy nie pozwoli mu, by znowu się do niej zbliżył. Jest jej lekarzem i na tym koniec. Jego zachowanie wobec niej w ostatnich tygodniach ułatwiło jej tę decyzję. Poza tym powiedział jej, że na ranchu będzie też pielęgniarzka, by się o nią troszczyć. Jego tak czy owak przez większość czasu nie będzie na miejscu, bo na ranchu jest teraz dużo roboty. Anna Tanner przed kilkoma dniami wyjechała do Colorado Springs, gdzie zespół operacyjny miał się zająć nowym przypadkiem. Marvin wyjaśnił jej, że w jego zespole pracuje trzech neurochirurgów, więc nie było problemów, gdy jeden z nich brał wolne.

Drzwi pokoju otworzyły się i wszedł Marvin. Spojrzał na nią z uznaniem, zlustrował jej zielone skórzane spodnium z pasującą do niego chustką na głowie.



Corey dumnie podniosła brodę, gdy zobaczyła błysk rozbawienia w jego oczach. - Co tu jest takiego śmiesznego, Marvin? - Zbroiła się już do kłótni z nim.

- Zupełnie nic, Corey, nie musisz od razu zajmować pozycji obronnej. Podziwiałem cię tylko. Żadna z kobiet, które znam, nie mogłaby umalować się jak pirat i wyglądać przy tym tak uroczo.

Corey, zmieszana, zaczerpnęła powietrza. Po raz pierwszy w ciągu ostatnich tygodni Marvin pozwolił sobie na osobistą uwagę. Do tego jeszcze przeszedł na „ty”, a to z jakiegoś niejasnego powodu ją zaniepokoiło. Poczula, jak gorący rumieniec wypływa na jej policzki.

Niecierpliwie machnęła ręką. - Moje rzeczy leżą tam. Maggie je spakowała... - Przerwała i zauważyła nerwowo, że on nadal stoi w tym samym miejscu i przygląda się jej. Czubkiem języka powiodła po spierzchniętych wargach. - Nie rób tego, Corey - powiedział cicho. - Te drzwi nie mają zamka w przeciwieństwie do drzwi w domu Dana... a ja pamiętam bardzo dobrze, co się wydarzyło, gdy pierwszy raz tak na mnie spojrzałaś...

Corey odwróciła się szybko i zamknęła oczy. Nic się nie zmieniło, on niczego nie zapomniał. W ubiegłych tygodniach zmuszał się tylko, by być wobec niej chłodnym, chciał ją tym uspokoić. Usłyszała jego kroki za sobą i czekała na to, że jego ramiona zamkną się wokół niej. Obawiała się tej chwili, ale także tęskniła do niej z siłą, której sama sobie nie mogła wytłumaczyć.

Ale usłyszała tylko, jak przeszedł przez pokój i wziął jej walizki. - Już dobrze, Corey, chodźmy - powiedział ochryple. - Najwyższa pora, żebyśmy wyszli z tej antyseptycznej atmosfery i odetchnęli świeżym powietrzem.

Przytrzymał drzwi i Corey szybko przeszła obok niego. Ten urlop z pewnością nie będzie dla niej taki nieuciążliwy, jak sobie wyobrażała. Z Marvinem Riordanem nigdy niczego nie można być pewnym!

## ROZDZIAŁ 9

Corey milcząco siedziała w samochodzie obok Marvina i obserwowała krajobraz Durango. Śmiejący się ludzie pozdrawiali się wzajemnie, małe grupki młodzieży stały razem i dyskutowały.

Corey potrząsnęła głową. - Zupełnie nie tak wyobrażałam sobie Durango - mruknęła cicho.

Marvin rzucił jej badawcze spojrzenie, potem patrzył znowu na drogę. - A co sobie wyobrażałaś? Brudne miasto pełne krów i błota? - Zaśmiał się, gdy zobaczył jej zaskoczoną twarz. - Corey, oglądałaś za dużo filmów o Dzikim Zachodzie. Durango jest miastem na Zachodzie, to się zgadza, i nie ma tu zbyt wielu wieżowców, do których jesteś przyzwyczajona. Ale chociaż miasto stale rośnie, to zachowało charakter małego miasteczka. Czy mam mówić dalej?

Corey skinęła z uśmiechem. - Tak, proszę, przecież na tym terenie jesteś ekspertem.

- Ta kraina ma bogatą historię - wyjaśnił Marvin, gdy pozostawili za sobą miasto. - Pół godziny drogi stąd jest ogród skalny Mesa Verde, który powstał w roku 1100 przed Chrystusem. A gdy jedzie się dalej wzdłuż Navajo Trail, dojeżdża się do Four Corners Monument.

- Co to jest? - spytała Corey. Marvin wzbudził jej zainteresowanie.

- To jedyne miejsce w Stanach Zjednoczonych, gdzie graniczą ze sobą cztery stany: Colorado, Nowy Meksyk, Utah i Arizona. Mam opowiadać dalej?

Corey uśmiechnęła się. - Przepraszam, że ci przerwałam. Jestem naprawdę pod wrażeniem. - Marvin wskazał na prawo. - Tam jest

Ignacio, miejsce spoczynku wodzów Utah, dalej Gem Village, w pobliżu Bayfield, znane ze swoich dzikich psów. Interesuje cię to?

Corey potrząsnęła głową ze śmiechem. - Nie, krajobraz mi wystarczy, Marvin. Tu jest tak pięknie. Wyobrażałam sobie tę okolicę jako wysuszoną i zakurzoną. Nic dziwnego, że tęskniłeś za domem.

- Widzisz, znowu wysnułaś uprzedzenia ze zbyt wielu filmów o Dzikim Zachodzie. Nie jesteśmy w Teksasie, jesteśmy prawie 1950 metrów nad poziomem morza.

Skręcił z drogi i zatrzymał się przed jakimś blokiem. Gdy zobaczył pytające spojrzenie Corey, roześmiał się głośno. - Nie, to nie jest rancho. Ale pomyślałem, że może jesteś głodna, a w tej restauracji jest najlepsze westernowe jedzenie, jakie kiedykolwiek jadłaś. Chcesz spróbować?

Dopiero teraz Corey zdała sobie sprawę z tego, jak bardzo jest głodna. W żołądku jej burczało i skinęła potakująco.

Marvin zaprowadził ją do restauracji i zanim się obejrzała, stał przed nimi parujący posiłek: wołowina w sosie barbecue, pieczona fasola, biszkopty własnej roboty z masłem i miodem, kompot jabłkowy i ciasto.

Na koniec wypili po filiżance kawy. Corey jęknęła. - Zaraz pęknę, Marvin. Jeśli tu zawsze jest takie dobre jedzenie, to dziwię się, że nie jesteście stolicą grubasów!

Oparł się wygodnie na krześle i patrzył na nią. - Dobrze jest widzieć cię roześmianą, Corey. Życie nie obeszło się z tobą łagodnie po śmierci twojego ojca, prawda? Dan miał rację, pilnie potrzebujesz urlopu, Corey... i dużo więcej.

Natychmiast stała się czujna. - A więc rozmawiałeś o mnie, z panem. A teraz zdajesz się wiedzieć o mnie znacznie więcej niż ja o tobie. To nie fair.

Marvin pokiwał głową. - Masz rację, to nie fair. A więc dobrze, mam trzydzieści sześć lat, nie jestem żonaty, jak wiesz. Studiowałem medycynę i poszedłem na chirurgię. Gdy po pewnym czasie mnie to znudziło, zwróciłem się w stronę neurochirurgii i przy tym pozostałem do dziś.

- Wypił łyk kawy. - Ale zawsze ciągnie mnie z powrotem tutaj. Obojętne, ile miast bym poznał, zawsze wracam do Durango. Mam we krwi bycie rancherem i sadzę, że dotarłem do takiego punktu w moim życiu, gdy priorytety się przesunęły. Tęsknię za ranchem o wiele za bardzo, gdy nie jestem tutaj. Ze mną jest dokładnie tak, jak z tobą, Corey.

- Wzruszył ramionami. - Nie wierzę ci ani na jotę, że naprawdę sprawiałoby ci przyjemność usiąść znowu za biurkiem i wydawać rozkazy do dyktafonu. Życie ma do zaoferowania znacznie więcej i gdy tu będziesz, pokażę ci trochę tego.

Właściwie Corey powinna być teraz zła na niego, ale sposób, w jaki z nią rozmawiał, ułagodził ją. Zmarszczyła czoło i patrzyła zmieszana w bok. Uświadomiła sobie, że Marvin trzyma w ręku jej przyszłość. Chciał ją powstrzymać od powrotu do dawnego życia i przez chwilę była mu rzeczywiście wdzięczna za jego wysiłki, wdzięczna i...

Przepędziła te myśli z głowy i zaśmiała się. - A gdzie zaczniemy, partnerze?

Marvin zapłacił rachunek i wstał. Przez cały czas nie spuszczał z niej oczu. - Tutaj, Corey, dokładnie tutaj, w głównym mieście kolejki wąskotorowej. Pokażę ci Colorado z kolejki parowej, która jeszcze tu jest. Ale teraz lepiej jedźmy dalej. Jim z pewnością już na nas czeka, a także Rita i Estella, nasza

gospodyni. Moi rodzice zmarli kilka lat temu i od tego czasu Estella się nami opiekuje, abyśmy mogli całkowicie poświęcić się owcom.

Corey stanęła jak wryta, a potem odwróciła się gwałtownie. - Rita? Czy nie mówiłaś Rita do jakiejś pielęgniarki, gdy obudziłam się z narkozy? t Czuję ciężar w sercu i ucisk w gardle, gdy pomyślała o słowach Anny Tanner „oni są sobie bardzo bliscy”...

Marvin skinął. - Tak, ona jest moją instrumentariuszką. Mieszka z ojcem na sąsiednim ranchu. Zaraz po tym, gdy zacząłem studia medyczne, ona poszła do szkoły pielęgniarskiej i gdy skończyła się kształcić, a ja poszedłem na chirurgię, poprosiłem ją, by pracowała ze mną. Znamy się już od dzieciństwa, nasi rodzice też byli zaprzyjaźnieni. - Spojrzał na nią z boku, a Corey spuściła wzrok. Dobrzy przyjaciele, pomyślała. I właśnie ona czeka na ranchu, by zaopiekować się Corey, nie pojechała z resztą zespołu do Colorado Springs, jak pani Tanner.

Corey przełknęła ślinę, łzy napłynęły jej do oczu, ale nie mogła dać Marvinowi tej satysfakcji, by odkrył, że jest zazdrosna o Ritę Danvers. Tak, musiała to przyznać. Niemal zapomniała o ładnej, uwodzicielskiej Ricie. Tak zauroczyły ją opowieści Marvina o Durango i ten wspaniały krajobraz. Naprawdę cieszyła się, że będzie z nim, ale teraz...

Corey westchnęła i poruszyła się niespokojnie. To wszystko było tylko snem, wiedziała o tym, a jednak nie była w stanie się od niego uwolnić.

Uśmiech zadowolenia ukazał się na jej ustach, gdy władczo objęła ramieniem Marvina. Rozkoszowała się uczuciem, że czuje obok siebie jego muskularne, silne ciało, czuje, jak przepelnia ją jego ciepło. Jedną rękę położyła na jego brzuchu, gdy silnym chwytem przyciągnął ją do siebie jeszcze bliżej, odprężyła się i przytuliła do niego. Cicho mruknęła jego imię, gdy poczuła jego ciepły oddech na swoim czole, i uśmiechnęła się, gdy jego usta dotknęły jej czoła. Potem jego wargi prześliznęły się dalej, na jej głowę, której nie kryła już chustka. Poczuła, jak jego palce gładzą jedwabisty puch jej włosów. Policzką opierała się o jego pierś; spokojne, mocne bicie jego serca uspokajało ją, czuła się bezpieczna i zadowolona. Kochała Marvina Riordana, w tym śnie mogła się do tego przyznać. Nie wiedziała, kiedy to się stało ani jak to się w ogóle mogło stać, ale w tym cudownym śnie objawiły się jej uczucia.

Mruknęła w proteście, gdy do jej snu przeniknął jego głęboki głos, chcący ją przywołać do rzeczywistości. Dopiero gdy Marvin ścisnął ją mocniej, zaczęła powoli dochodzić do siebie.

- Corey... Corey... przestań natychmiast, w przeciwnym razie nie mogę brać odpowiedzialności za swoje czyny. - Jego głos brzmiał natarczywie i ochryple.

- Hmm... - mruknęła, a jej palce wśliznęły się między guziki jego koszuli i dotknęły nagiej skóry.

- Corey... przestań i obudź się. - Usłyszała, jak cicho jęknął. - Muszę być szalony - szepnął. - Tak, muszę być rzeczywiście szalony, skoro próbuję cię powstrzymać. - Zaśmiał się cicho, gdy Corey powoli otworzyła oczy i stwierdziła, że jej sen, stał się rzeczywistością.

Oślupiała leżała na piersi Marvinina, trzymając rękę pod jego koszulą. Spojrzała na niego zmieszana. Nadal siedział za kierownicą, obejmując ją prawym ramieniem. Patrzył na nią z rozbawieniem, ale w jego oczach błyszczało pożądanie.

Musiała zasnąć i we śnie oprzeć się o Marvinina. Jej sny splotły się z rzeczywistością i teraz trudno było odróżnić, co było rzeczywistością, a co snem. Próbowwała uwolnić się z jego objęcia, ale Marvin przytrzymał ją i pogładził czule jej głowę.

- Odpręż się, Corey. Potrzebowałeś tej drzemki. Zaraz będziemy na miejscu, chciałem cię przedtem obudzić, abyś mogła trochę doprowadzić do porządku twarz, chociaż uważam, że tak wyglądasz niezwykle ładnie.

Pogrążony w myślach wyjrzał przez okno i lekko zmarszczył czoło.

- Naprawdę nie miałbym nic przeciw temu, żeby budzić się co rano u twego boku. - Marvin uśmiechnął się lekko. - Czy wiesz, że miauczysz jak kotek, kiedy śpisz?

Corey usiadła i dotknęła ręką głowy. Z przerażeniem stwierdziła, że jej chustka zsunęła się, gdy spała. Wpatrywała się w Marvinina. - Czy budziłbyś się chętnie u mojego boku także wówczas, gdy byłabym bez turbanu? - naskoczyła na niego. Obserwowała, jak jego spojrzenie powędrowało w stronę jej głowy. - No tak, bez... wszystkiego naturalnie - mruknął cicho.

Corey sięgnęła nerwowo po chustkę i obwiązała ją sobie wokół głowy. Zagryzła wargi, daremnie szukając właściwej odpowiedzi. Znowu udało mu się całkowicie wyprowadzić ją z równowagi. Westchnęła głęboko, a potem wyciągnęła z torebki lusterko i doprowadziła do porządku rozmazany makijaż. Kochała Marvinina i cieszyła się, że on nie ma o tym najmniejszego pojęcia, bo to byłaby tylko woda na jego młyn, jego gra z nią stałaby się dla niego jeszcze bardziej pociągająca. On kocha Ritę, która czeka na niego w domu. A ona, Corey, powinna teraz zmusić się, by pozostać chłodną i oprzeć



się jego seksualnemu przyciąganiu. Zdecydowanie zacisnęła wargi i zmusiła się, by na niego spojrzeć.

- A więc, czy teraz wyglądam lepiej?

Marvin wzruszył ramionami, a potem włączył zapłon. - Mój skarbie, z twoim wyglądem przedtem też było wszystko w porządku.

- Miło, że to mówisz, Marvin, ale ty jesteś przecież lekarzem. Kobieta zawsze przykłada szczególną wagę do swojego wyglądu, gdy w pobliżu jest mężczyzna - powiedziała cicho.

- Ale ja to powiedziałem jako mężczyzna, a nie jako lekarz, Corey. A teraz nie rozmawiajmy już o tym.

Patrzyła na niego z boku, gdy całą uwagę skierował na drogę. Czuła się zmieszana, że nagle tak spoważniał, rozbawienie i pożądanie zniknęły z jego wzroku. On jest jak kameleon, pomyślała, jego nastroje zmieniają się tak szybko i mają tyle odcieni, co brylant czystej wody. Ona nigdy go nie zrozumie.

- No i jak ci się podoba? - chciał wiedzieć Marvin.

Corey powoli pokręciła głową. - Po prostu nie mogę w to uwierzyć. To jest twoje rancho? Myślałam, że będzie wyglądać jak... jak... - Zmieszana wzruszyła ramionami, niezdolna do znalezienia właściwego wyrażenia. Z podziwem patrzyła na duży kamienny dom otoczony olbrzymimi blokami skalnymi i zielonym żywopłotem. Wąskie dróżki z odłamków marmuru prowadziły do domu i otoczonych płotami zagród. Jak oaza na pustyni, dom leżał w środku płaskiej, wysuszonej okolicy. Na lewo od domu stał jeszcze drugi, mniejszy dom. Był on zrobiony z drewna i pobielony. Wzrok Marvina podążył za jej spojrzeniem.

- To dom dla robotników - odpowiedział na jej nieme pytanie. - Mieszkają tam cały rok. Prawdopodobnie jest lepiej wyposażony niż wiele tych domów, koło których przejeżdżaliśmy. Mamy też kucharza dla nich.

- Wszystko jest takie duże i nowoczesne. Myślałam raczej, że będzie z drewna i nie pomalowane. - Corey zrobiła niepewną minę, a Marvin zaśmiał się głośno.

- Wiem... oglądałaś za dużo westernów. Jest tu mnóstwo mniejszych ranch, do których pasowałby twój opis, Corey, ale nasze rancho jest dość duże - Wzruszył ramionami, był najwidoczniej obojętny na to niezmiernie bogactwo dookoła. - Dlatego teraz przyjechałem do domu, aby pomóc Jimowi. O tej porze roku spędza się owce. Oczywiście, mamy dość pracowników, którzy mogą to zrobić, ale Jim nie był w tym roku w stanie nadzorować tych prac. Zaraz zobaczysz, dlaczego. - Przerwał, gdy rozległ się

kobiecy głos. Gdy Corey się odwróciła, zobaczyła, jak Rita Danvers wybiegła z domu i rzuciła się w ramiona Marvina. Podniósł ją, a ona oplotła ramionami jego szyję i roześmiała się wesoło. Z szerokim uśmiechem postawił ją z powrotem na ziemi i obdarzył pocałunkiem. Corey szybko spojrzała w bok, on nie powinien zobaczyć, jaki ból sprawia Jej ten widok. - Jak się miewa moja dziewczynka? - spytał Marvin rudowłosą, młodą kobietę.

- Cudownie, Marvin. O, jak dobrze znowu mieć cię w domu. A ty leż się na pewno cieszysz, że znowu jesteś tutaj, prawda? - Wzrok Rity spoczął z podziwem na jego twarzy. Corey zmusiła się, by patrzeć obojętnie, gdy Rita nagle zauważyła, że jest jeszcze ktoś, kto obserwuje całą scenę. Corey skinęła jej z uprzejmym uśmiechem, gdy Rita podeszła do niej z wyciągniętą ręką.

- Och, przepraszam panią, Corey! Tak się ucieszyłam, że znowu widzę Marvina, że zupełnie zapomniałam o moim dobrym wychowaniu.

Tak się cieszę, że przyjęła pani jego zaproszenie. On jeszcze nigdy nie przywiózł tu żadnego ze swoich pacjentów. Nawet pani nie wie, jakie ma pani szczęście. A może niesłusznie myślę zawsze, że każdy musi się tu czuć tak dobrze jak ja. Ale mam nadzieję, że będzie się pani cieszyć każdą minutą pobytu tutaj. A jeśli tylko będę mogła dla pani coś zrobić, to proszę mi powiedzieć. Mój pokój jest tuż obok pani pokoju. - Ze względu na Marvina powinnam być przyjaźnie nastawiona do Rity, pomyślała Corey, ale gdy zobaczyła, jak ci dwoje uśmiechają się do siebie, nagle znienawidziła ich oboje.

Jakie to wspaniałomyślne ze strony Rity, zaoferować jej gościnność na ranchu Marvina. Od początku uświadomiła jej, że to ona jest tu gospodynią i że Corey jest tylko jego pacjentką. Przyjrzała się Ricie, biała dżersejowa sukienka podkreślała jej figurę, jej rude włosy lśniły w słońcu. Wszystko to przyczyniło się do tego, że Corey jeszcze bardziej uświadomiła sobie niedostatki swojego wyglądu. Nienawidziła siebie samej za zazdrość, którą czuła, za wrogość wobec tej dziewczyny, która witała ją z uśmiechem... dziewczyny Marvina.

Przełknęła całe zgorzknienie i zmusiła się do uśmiechu. - Dziękuję, Rito. Przykro mi, jeśli popsulałam pani plany. Jak słyszałam, pani też ma rancho w tej okolicy...

- Nie, rancho należy do mojego ojca - przerwała jej Rita. - I jest o wiele mniejsze niż rancho Jima i Marvina. Ale dlaczego ciągle stoimy na zewnątrz? Jim już się na pewno niecierpliwi, a pani powinna usiąść, z pewnością jest pani wyczerpana podróżą. Ty też to przyznasz, Marvin! Corey powinna się trochę położyć.

- Jak zwykle masz rację, Rito. - Spojrzał kpiąco na Corey. - Może powinna się trochę przespać.

Razem weszli do domu. Marvin wskazał na kosze z roślinami i kwiatami. - To duma Estelli. Ona potrafi nie tylko wspaniale gotować, sama też hoduje rośliny. To jej hobby.

- Są przepiękne - szepnęła Corey. Dziwiła się, jak ktoś mógł wyhodować w środku pustyni taką wspaniałość roślin.

Rita wprowadziła ją do dużego, opromienionego słońcem pokoju. - Jim, są już. - zawołała. Corey stanęła jak wryta, gdy weszła do pokoju. Olbrzymie panoramiczne okno dawało zapierający dech widok na góry w oddali i na pustynię. Dopiero potem zauważyła mężczyznę w fotelu koło wielkiego okna.

Trochę młodsza wersja Marvina podniosła się z wysiłkiem z fotela. Jedna noga mężczyzny była w gipsie. Rita podbiegła do Jima i pomogła mu, patrząc na niego ze złością.

- Jim, czy ty w końcu przestaniesz się przeciążać? Może przynajmniej posłuchasz Marvina. Teraz, gdy przyjechał, może uda mu się przywołać cię do porządku.

Jim Riordan skrzywił twarz z bólu i opadł z powrotem na fotel. Spojrzał na Corey. - Proszę wybaczyć, ta noga rzeczywiście mnie załatwiła. Chętnie powitałbym panią w drzwiach, Corey. I musi mi też pani wybaczyć moje zniecierpliwienie, nie jestem przyzwyczajony, by ktoś się o mnie troszczył, i nie mogę znieść -tego, że jakaś kobieta rozkazuje mi, co mam robić! - Corey zobaczyła, jak Rita przy tych słowach niechętnie zmarszczyła czoło.

- Przypuszczam, że teraz rozumiesz, dlaczego to było dla mnie takie ważne, by wrócić do domu, Corey - powiedział Marvin. - Z tą nogą Jim naturalnie nie może nadzorować spędzania owiec.

Jim wskazał jej fotel koło siebie i Corey usiadła. Nieufnie obserwowała Ritę, która pociągnęła Marvina w stronę kanapy i usiadła obok niego, wzięła go za rękę i uśmiechnęła się promiennie. Corey odwróciła się zdecydowanie w stronę Jima, który obserwował Marvina i Ritę z osobliwym wyrazem twarzy.

Jim był młodszą wersją swego brata, tuż przed trzydziestką, jak oceniła Corey, i wyglądał niemal jeszcze lepiej niż jego brat. Nie miał tego twardego wyrazu twarzy i agresywności Marvina. Miał takie same kruczoczarne włosy i taką samą śniadą cerę, ale wydawał się spokojniejszy niż jego brat. Jego oczy były brązowe i lśniły ciepło, lecz Corey nie zauważyła w nich tego ognia, który palił się w błękitnych oczach Marvina. Od razu go polubiła.

Odwróciła się na dźwięk kroków. Siwowłosa kobieta w średnim wieku weszła do pokoju z tacą pełną zimnych napojów i kanapek. Zaśmiała się uszczęśliwiona, gdy zobaczyła Marvina, potem jej przyjazny wzrok spoczął na Corey. Postawiła tacę na stole, podparła się pod boki i zwróciła się do Marvina: - Najwyższa pora, żebyś wrócił do domu, gdzie twoje miejsce, Marvmie Riordan. I cieszę się, że przywiozłeś nam gościa. Jim już bardzo dał się we znaki mnie i Ricie. Staje się tak samo J niemożliwy jak ty, po prostu nie słucha, co się do niego mówi. Nie mogę zrozumieć, dlaczego panna Rita jeszcze ma dla niego jakieś względy.

Marvin zaśmiał się głośno, a Rita też się uśmiechnęła, gdy zobaczyła, jak Jim patrzy spod zmarszczonych brwi. Corey wiedziała, dlaczego Rita zajmuje się Jimem, na pewno nie z czystej przyjaźni, tego była pewna. Miała dzięki temu własny pokój w domu Marvina i dawała do zrozumienia, że jest niezbędna. Dobry Boże, upomniała się Corey, muszę skończyć z tymi myślami! Ta dziewczyna nic mi nie zrobiła, a ja się zachowuję jak zazdrosna wiedźma!

- Corey, sądzę, że domyślasz się już, że jest Estella, która ma władzę rozkazodawczą w tym domu. Jest u nas, odkąd byłem dzieckiem, i zawsze tak nam wymyśla. Ale my ją kochamy, prawda, Jim? - Marvin wstał i objął starszą kobietę, która głośno zaprotestowała, potem jednak przyłączyła się do ogólnej wesołości. Nawet Corey musiała się uśmiechnąć.

- Niech pani ich nie słucha, panienko - powiedziała Estella. - Złoszczą mnie już od dzieciństwa. Traktuję ich jak własne dzieci, ale czy sądzi pani, że mi chociaż za to podziękują? - Potrząsnęła głową. - O nie, nie ci dwaj. Marvin jest gorszy, bo jest starszy, ale ja nadal daję sobie z nim radę! - Spojrzała z udawaną złością na Marvina, który znowu usiadł obok Rity.

- Marvin opowiadał mi, że fantastycznie pani gotuje, Estello. Jest z tego bardzo dumny. Może będzie pani mogła wprowadzić mnie w tajniki sztuki kulinarnej podczas mojego pobytu, bo ja w ogóle nie umiem gotować.

- Tak, mój skarbie - mruknął Marvin. - Ale za to masz inne talenty, które usprawiedliwiają twój brak umiejętności kulinarnych.

Corey spojrzała na niego, a Marvin pospieszył z wyjaśnieniem. - Mam na myśli oczywiście twoje talenty jako kobiety interesu, Corey. Może będziesz mogła pomóc Jimowi w księgowości, gdy tu będziesz. - Uśmiechnął się niewinnie.

- To byłoby wspaniałe - wtrącił się Jim. - Rita powiedziała mi, że ma pani własną firmę czy coś takiego. Czy pomogłaby pani swojemu współpacjentowi

i towarzyszowi niedoli, gdy już się pani tu trochę urządzi? Chyba że Marvin uważa, że praca nie jest dla pani wskazana...

Zanim Corey zdążyła odpowiedzieć, Marvin potrząsnął głową. - Nie, znowu musi powoli przyzwyczajać swoją główkę do wysiłku, to z pewnością jej nie zaszkodzi. Ale zaczynam być o ciebie zazdrosny, Jim. Będziesz się tu dawał uwodzić dwu ślicznym kobietom, gdy ja będę sam w tej dziczy!

- Naturalnie chętnie panu pomogę - pospieszyła z zapewnieniem Corey. - Jestem przecież pańskim gościem. Chociaż ja się z tym nie zgadzałam, pański brat uparł się, że powinnam tu odbyć rekonwalescencję. - Ugryzła kanapkę i zobaczyła, jak Jim uśmiechnął się z ulgą. Najwidoczniej praca za biurkiem nie należała do jego zamiłowań i był jej wdzięczny. - Ja też już się zaoferowałam, że mu pomogę - rzuciła Rita.

- Ale on sądzi, że zbyt bym nim komenderowała.

Corey wskazała na złamaną nogę Jima. - Jak to się stało? - spytała.

Rita zachichotała, gdy Jim oblał się paśowym rumieńcem. - Czy uwierzy mi pani, gdy powiem, że koń mnie kopnął? - Corey myślała w pierwszej chwili, że on żartuje, ale gdy Marvin i Rita zaśmiali się głośno, uświadomiła sobie, że powiedział prawdę. Nawet Estella zaśmiała się, a Corey powiedziała szybko: - Zawsze myślałam, że tylko ja boję się koni! A tu siedzi ktoś, kto wyrósł na wsi i pozwolił koniowi podejść tak blisko, że go kopnął? -

- No tak, nie prosiłem konia, żeby mnie kopnął. A cała sprawa jest jeszcze gorsza przez to, że ta klacz jest jedną z najłagodniejszych, jakie mamy! Z pewnością była tego dnia w złym humorze... jak wszystkie kobiety! - Rita i Corey zaprotestowały niemal w tym samym momencie, a Estella ze złością wyszła z pokoju. - Marvin, pokaż Corey jej pokój, powinna trochę odpocząć, a Jim też miał dość nerwów na jeden dzień - zawołała jeszcze od drzwi. - Może on i Rita przestaną wreszcie ciągle się kłócić, gdy nie będą już sami.

- Tak jest - powiedział Marvin i wstał. - Marvin, mój skarbie - poprosiła Rita. - Pozwól, że ja pokażę Corey jej pokój. Ty zostań i porozmawiaj z Jimem. W ostatnich dniach nie spał zbyt dobrze i odmawia przyjmowania środków przeciwbólowych, które przepisał mu doktor Randall. Może ciebie w końcu posłucha. Zobaczymy się później, przy kolacji.

Corey wstała, zawiedziona, że Marvin nie odprowadzi jej do pokoju. Westchnęła i poszła za Ritą. Jak dotąd, tą dziewczyna nie zrobiła niczego, za co mogłaby się na nią złościć, i to jej najbardziej przeszkadzało. Rita była dla niej taka miła, a ona tak się na nią złościła. Gdyby Rita nie traktowała jej tak przyjaźnie i uprzejmie, o wiele łatwiej byłoby ją nienawidzić.



Gdy szły przez dom, Rita wskazała na podłogę. - Ten dom jest tak samo piękny jak wtedy, gdy przychodziłam tu jako dziecko. Te meksykańskie płytki nie straciły nic ze swej piękności przez te wszystkie lata.

Corey rozejrzała się. W całym domu była podłoga z tych kolorowych płytek. Czegoś takiego nie widziała jeszcze nigdy w życiu. Tylko w salonie leżał gruby dywan. Spojrzała na Ritę pytająco.

- Tutejsze podłogi nie są robione z drewna, bo powietrze jest tu bardzo suche - pospieszyła z wyjaśnieniem Rita. - Drewno szybko zaczęłoby się rozsychać, dlatego używa się tych kafli do wykładania podłóg. - Trochę ciszej dodała: - A przy tych wszystkich brudnych buciorach kafle są poza tym łatwiejsze do utrzymania w czystości. Estella upierała się przy tym, by wyłożyć nimi podłogę, gdy budowano ten dom. Ona ma pochodzenie indiańsko-meksykańskie, a jej mąż układał te kafle. Była Wtedy jeszcze młodą kobietą.

- Czy Estella jest mężatką? - spytała Corey. - Nie widziałam w domu nikogo więcej.

- Nie. - Rita potrząsnęła głową. - Juan zmarł wkrótce po ślubie, mniej więcej trzy lata po tym, gdy przybyli do Riordanów. Marvin był wtedy jeszcze dzieckiem, a Jima w ogóle nie było na świecie, jest jedenaście lat młodszy od Marvina. Riordanowie przyjęli ją wtedy praktycznie jak członka rodziny, a ona traktowała ich dzieci jak własne.

Corey poczuła ciężar w sercu. Rita wiedziała tak dużo o przeszłości Marvina. A ona nie wiedziała właściwie nic o nim i o ranchu, które tak wiele dla niego znaczyło. Szczerze mówiąc, wiedziała tylko, że jest bardzo dobrym neurochirurgiem i jedynym mężczyzną, który budził w niej tak cudowne uczucia. Był jedynym mężczyzną, w którym się kiedykolwiek zakochała. Corey przełknęła ślinę i zmusiła się do uśmiechu, gdy kobieta, która kochała Marvina, wprowadziła ją do pokoju. Wiedziała, że nie ma tu dla niej miejsca i nigdy też nie będzie odgrywać jakiegokolwiek roli w życiu Marvina. Gdzieś głęboko w duszy miała nadzieję, że może istnieje dla nich wspólna przyszłość, ale teraz uświadomiła sobie, że nigdy nie mogłaby konkurować z tą ładną, młodą kobietą.

- Corey, wyglądasz pani naprawdę na bardzo wyczerpaną. Ta podróż była dla pani z pewnością zbyt męcząca - zwróciła się do niej Rita. - Powiedziałam Marvinowi, że powinniście przylecieć samolotem, ale on koniecznie chciał jechać samochodem, by pokazać pani okolicę. Tu jest pani pokój, proszę się trochę położyć, obudzę panią na kolację, dobrze?

Corey skinęła głową. Zupełnie nie miała siły na oglądanie ładnego pokoju z pomalowanymi na biało ścianami i sufitem z belek. Widziała tylko olbrzymie podwójne łóżko, którego kołdra była zapraszająco odchylona. Jej walizka stała otwarta na dużej komodzie, sukienki wisiały już w szafie. Corey westchnęła głęboko.

- Dziękuję, nie sądziłam, że ta podróż tak mnie zmęczy. Chętnie się na chwilę położę.

Rita skinęła uprzejmie i odwróciła się do wyjścia. - Rito - zawołała za nią Corey i dziewczyna zatrzymała się. - Chciałabym pani podziękować za pani uprzejmość - powiedziała Corey szybko, bo nagle zrozumiała, że Rita jest po prostu bezinteresownie miła. Nawet jeśli próbowała przypodobać się Marvinowi, to nie zmieniało faktu, że przerwała swoją pracę w zespole, by opiekować się Corey.

Rita zaśmiała się i wzruszyła ramionami. - Ależ to przecież naturalne, Corey. - Cicho wyszła z pokoju.

Corey usiadła na łóżku i ostrożnie się rozebrała. Zamknęła oczy i poczuła, jak łyzy płyną jej po policzkach. Westchnęła głęboko i położyła się. Miała nadzieję, że uda jej się trochę przespać.

Czułe palce starły jej łyzy z policzków, to było jak łagodna pieszczota. Pieszczota, na którą natychmiast odpowiedziało jej ciało. Ogarnęło ją przyjemne ciepło, czuła ciepły oddech Marvina na swojej twarzy, gdy jego usta powoli dotknęły jej warg. Jego pocałunek był łagodny, a mimo to rozpałił w niej ogień, aż poczuła ból pożądania.

Władczo oplótła ramionami jego kark, wplotła palce w jego gęste, ciemne włosy, aby przyciągnąć go do siebie jeszcze bliżej. Poczowała, jak jęknął cicho, potem przesunął usta na jej szyję. Nagle Corey otworzyła oczy, jej sen stał się rzeczywistością, Marvin siedział na brzegu łóżka i trzymał ją w ramionach. Prychnęła i szybko wyrwała się z jego objęć. Uśmiechnął się. - Jak już powiedziałem, mógłbym przyzwyczaić się do tego, by zawsze cię tak budzić.

- Nie zadawaj sobie trudu - syknęła Corey. - A może nie wystarczy ci jedna kobieta?

Marvin spojrzał na nią zdziwiony. - Co to ma oznaczać?

- Czy nie wystarczy ci, że masz swoją... swoją przyjaciółkę pod jednym dachem i chcesz próbować uwieść jeszcze mnie? - spytała drżącym głosem.

- Moją przyjaciółkę? - spytał chłodno, a Corey drgnęła pod jego spojrzeniem.

- Tak jest, twoją przyjaciółkę - naskoczyła na niego. - A może powinnam powiedzieć: twoją kochankę. Ale wszystko jedno, jak ją określasz, Marvin,

Rita była dla mnie bardzo miła, a twoje zachowanie mnie oburza. Rita nie zasłużyła sobie na coś takiego!

- Rozumiem - powiedział Marvin. - Nie wiedziałem, że mój związek z Ritą jest tak widoczny. Ale cokolwiek by mnie z nią łączyło, Corey, to nie ma nic wspólnego z nami i nic cię też nie obchodzi. A teraz wstali i ubierz się. Mnie nie przeszkadza, że cię taką oglądam, ale ktoś mógłby wejść i wyciągnąć fałszywe wnioski. - Wstał i podszedł do drzwi. - Czekamy na ciebie w salonie. Kolacja jest gotowa. - Wyszedł i zaniknął za sobą drzwi.

Corey ubrała się szybko, umalowała i obwiązała fioletowy szal wokół głowy. Jeszcze tylko kilka tygodni, potem jej włosy odrosną i nie będzie musiała ich ukrywać. Rzuciła badawcze spojrzenie w lustro, a potem poszła szybko do salonu, gdzie wszyscy już na nią czekali. W żołądku jej burczało, była rzeczywiście głodna i cieszyła się, że nie musi wysilać się z konwersacją przed jedzeniem.

Corey zawahała się przed wejściem do salonu. Usłyszała rozmowę i cichy śmiech. Rita siedziała u stóp Jima i rozmawiała z nim. Jego noga leżała na poduszce, wyglądał na bardziej odprężonego niż przedtem. Marvin wyglądał przez okno. Zatopiony w myślach podniósł szklanekę i upił łyk. Gdy Corey weszła do pokoju, odwrócił się i spojrzał na nią.

Zmusiła się do uśmiechu, podchodząc do Rity i Jima. - Przykro mi, że musieli państwo tak długo czekać.

Jim machnął ręką. - Ależ nic nie szkodzi, Corey. Marvin powiedział nam, że po podróży - potrzebuje pani trochę spokoju. Dlatego Estella zaplanowała kolację trochę później. A więc niech się pani nie przejmuj!

- Och, rozumiem - powiedziała Corey cicho, ale nic z tego nie rozumiała. Dlaczego więc Marvin przyszedł do jej pokoju i obudził ją? Spojrzała na niego, napotkała kpiący wzrok.

- No dobrze, ale już jestem - powiedziała lekko. - I jestem głodna jak wilk. - Pod wzrokiem Marvina poczuła, że jej kolana stają się miękkie, albo musi wyjść z pokoju, albo usiąść. Jego spojrzenie czyniło ją bezsilną, a on dobrze o tym wiedział.

- Chce pani drinka, Corey? - spytał Jim. - Czy od razu zabieramy się do jedzenia?

Corey otworzyła usta, by odmówić wypicia drinka, gdy Marvin się wtrącił. - Corey chwilowo nie powinna pić alkoholu, Jim. Może później, gdy już całkiem wyzdrowieje. - Jego głos brzmiał rozkazująco.

- Ty jesteś lekarzem, Marvin. - Jim wzruszył ramionami i uśmiechnął się do Corey. - Udało mu się nawet doprowadzić do tego, że połknąłem] te

przekłete pigułki przeciwbólowe. Dlatego jestem w takim dobrym humorze. On potrafi być bardzo przekonujący, nie uważa pani?

- Tak - zgodziła się Corey. - Ale cieszę się, że posłuchał pan jego! rady, Jim. Nie ma sensu znosić bólu, gdy nie jest to bezwzględnie konieczne.

Marvin i Rita pomogli Jimowi wstać. - Wolałbym, żebyś poszedł przodem, Marvin - powiedział Jim. - Jak długo będę mógł, pozwolę się wspierać tym dwu pięknym, młodym damom. Czyż one nie są rzeczywiście bardzo ładne, Marvin? - Ukradkiem uśmiechnął się do Rity i Corey.

- Tak, obie są bardzo ładne - odparł Marvin krótko i wszedł pierwszy do jadalni.

Jim i Rita podtrzymywali konwersację przy stole. Marvin był bardzo milczący, tylko od czasu do czasu rozmawiał cicho z Ritą. Corey skoncentrowała się więc na Jimie, który opowiadał jej o ranchu i wyjaśniał, jak się spędza owce. Estella siedziała razem z nimi przy stole, najwidoczniej była uważana za członka rodziny.

Po kolacji pili kawę, a Jim opowiadał dalej. - Spędzamy owce i jagnięta, które pasą się w górach. Co roku wiosną puszczamy je wolno, a jesienią przed pierwszymi śniegami spędzamy je z powrotem.

- Ale skąd wiadomo, gdzie one są? - spytała Corey. - Nie zgubią się w górach? Przecież teren jest olbrzymi.

- Nie widziałaś płotów przy autostradzie? - przerwał jej Marvin. Gdy skinęła, mówił dalej: - Te płoty zatrzymują owce. Dzięki nim nie przechodzą przez drogi. Jedziemy więc wzdłuż tych płotów z gór w dolinę, potem już wszystko jest proste. Na zimę spędzamy je na centralną łąkę. Rancherzy pracują razem i łatwo jest rozpoznać owce po wypalonych znakach. Dlatego ja muszę tam jechać. Normalnie zrobiłby to Jim, bo on kieruje tym ranchem.

Serce Corey zabiło mocniej, gdy spytała: - A kiedy wyjeżdżasz?

- Jutro - odparł Jim. - I zostanie tam około trzech tygodni. Do licha, chciałbym móc z tobą pojechać, Marvin.

Marvin zaśmiał się cicho. - Ależ, Jim, masz przy sobie dwie piękne kobiety. Ja będę pić kawę przy ognisku i spać na derce... sam!

Jutro! Corey westchnęła cicho. Chociaż przedtem tłumaczyła sobie, że nie chce mieć go w pobliżu, to jednak teraz zmarkotniała, gdy uświadomiła sobie, jak niewiele godzin zostało do rana. A potem nie zobaczy go przez trzy tygodnie. Już zaczynała za nim tęsknić! Spojrzała na niego. Wyglądało na to, że nic nie robi sobie z tego, że zostawia ją tu samą... albo Ritę. Zobaczyła spojrzenie, które rzuciła mu Rita. O Boże, pomyślała, jak on to robi? Czy zakochuje się w nim każda kobieta, która znajdzie się blisko niego?

- No, Marvinie Riordan, dobrze ci to zrobi - mruknęła Estella. - Jeśli pośpisz trzy tygodnie na gołej ziemi i nie będziesz miał mojej kuchni, to może będziesz umiał znowu docenić to, co teraz uznajesz za oczywiste, młody człowieku!

Marvin zaśmiał się, nagle zniknął ten poważny wyraz twarzy, wydawał się zupełnie odprężony. - Uwierz mi, Estello, doskonale wiem, co tracę! - Obrzucił Corey kpiącym spojrzeniem, a potem mówił dalej: - Ale zostaje tu Rita, a ona zawsze dobrze reprezentowała moje interesy, prawda, mój skarbie? - Poglądził dłoń Rity.

Rita zaśmiała się. - Zrobię, co będę mogła, Marvinie. - Spojrzeli na siebie porozumiewawczo, a Corey znowu zobaczyła ten osobliwy wyraz twarzy u Jima. Wielkie nieba, pomyślała, on chyba nie jest zazdrosny o Marviną! Szybko jednak odpędziła tę myśl od siebie. Naturalnie, że jest zazdrosny. Marvin jutro wyjeżdża, by robić to, co normalnie robiłby Jim, podczas gdy on musi siedzieć w domu i załatwiać pracę biurową.

RS



## ROZDZIAŁ 10

Słońce właśnie wzeszło, gdy Corey usłyszała nawoływania mężczyzn i rżenie koni. Szybko wstała i podbiegła do okna. Poprzedniego dnia zaraz po kolacji poszła do łóżka i spała mocno i głęboko. Marvin, Jim i Rita siedzieli jeszcze przy stole, gdy się pożegnała.

Corey drżała przy otwartym oknie, przyglądając się mężczyznom. Jej jedwabna nocna koszula z pewnością nie nadawała się na tutejszy klimat, żałowała, że nie zapakowała cieplejszej. Serce zabiło jej szybciej, gdy usłyszała głęboki głos Marvina. Wydawał rozkazy pozostałym mężczyznom i po chwili zobaczyła, jak galopuje na koniu. Miał na sobie kurtkę z owczej skóry, która z pewnością służyła mu już od wielu lat. Ze śmiechem pochylił się do Rity, która również wyszła z domu, i obdarzył ją pocałunkiem. Pomachała mu jeszcze raz i wróciła do Estelli. Jim, jeszcze nie ogolony, balansował o kulach i dawał Marvinowi ostatnie wskazówki.

Corey drżała z zimna. Poczowała się nagle bardzo samotna. Szeroko otwartymi oczami patrzyła na mężczyznę, którego tak bardzo kochała. Cieszyła się, że Marvin nie może jej widzieć, bo z jej oczu wyczytałby, co do niego czuje i czego już dłużej nie może ukrywać.

Jakby wyczuł jej myśli, spojrzał nagle w stronę jej okna. Corey szybko cofnęła się o krok, ale jednak ją zobaczył. Kapelusz krył przed nią jego oczy, ale zobaczyła, jak zagadkowy uśmiech zaigrał wokół jego ust. Przytknął palce do ronda kapelusza, potem poderwał konia i odjechał razem z innymi. Corey patrzyła za nim, aż nie mogła go już rozpoznać wśród innych jeźdźców, dopiero wtedy odeszła od okna i ubrała się.

Obwiązała chustkę wokół głowy i udała się na poszukiwanie kuchni, skąd dobiegały głosy Estelli, Jima i Rity.

- Dzień dobry, śpiochu - pozdrowił ją Jim. - Przegapiła pani wymarsz.  
 - Wiem - odparła, nalewając sobie filiżankę kawy. - Słyszałam ich jeszcze.  
 - Potrzęsnęła głową, gdy Estella zaoferowała jej coś do jedzenia, roześmiała się jednak, gdy zobaczyła jej niezadowolone spojrzenie. - Przykro mi, Estello, ale to nie dlatego, że nie smakuje mi pani pyszne jedzenie. Ja nigdy nic nie jem rano.

- No, moje piękności, co dzisiaj zamierzacie? - spytał Jim.  
 - Najpierw pokażę Corey rancho - odparła Rita. - A potem zabiorę ją do mojego ojca. Ty będziesz odpoczywać i grzecznie łykać swoje pigułki.

Jim skrzywił się. - Po tych pigułkach czuję się zmęczony, do licha,. Rito, wiesz przecież o tym. Poza tym muszę zająć się papierami.

- Z nadzieją spojrzął na Corey.

Corey uśmiechnęła się do niego współczująco. Rita rzeczywiście robiła mu piekło, ale to wszystko było jedynie dla jego dobra. - Rita ma rację, Jim - powiedziała - Poza tym z pewnością będziemy mieli jeszcze dość czasu na siedzenie za biurkiem. A ja chemie obejrzę rancho.

Estella skinęła potakująco i Jim z rezygnacją wzruszył ramionami.

- Już dobrze - ustąpił. - Odpocznę dzisiaj, a wy możecie sobie obejrzeć okolicę. Ale chyba nie pojedziecie konno?

Rita zaśmiała się. - Przy tym strachu Corey przed końmi?! Bez obaw, Marvin udzielił mi ścisłych instrukcji. Zabronił mi puszczać Corey w pobliże konia, nawet gdyby ktoś miał przy tym czuwać. Przypuszczam, że obawia się kolejnego zranienia głowy.

Corey zmusiła się do uśmiechu. - W porządku, Rito. I tak nie mam zamiaru zostawać tu tak długo, by się przyzwyczaić do koni!. Gdy Marvin wróci, może kogo innego uczyć jeździć konno. Idziemy? Cieszę się, że mogę zwiedzić pańskie rancho, Jim, i pani dom też chętnie zobaczę, Rito.

Rita przejęła dowodzenie i już wkrótce siedziały w samochodzie, który Marvin wypożyczył na lotnisku. - Wprawdzie obiecałam Marvinowi, że oddam samochód, ale sądzę, że dobrze będzie, jeśli go jeszcze trochę zatrzymamy - powiedziała Rita. - Jedynym innym samochodem na rancho jest jeep, który pewnie będzie potrzebny do czego innego.

Estella dała im listę zakupów, więc najpierw pojechały do Durango. Corey weszła do sklepu tekstylnego i po pięciu minutach wyszła z dużą paczką.

- Koszule nocne - wyjaśniła Ricie i zaśmiała się, gdy zobaczyła jej pytające spojrzenie. - Długie, ciepłe, flanelowe koszule nocne. Dzisiaj rano prawie zamarłam!

- Przykro mi - stwierdziła Rita. - Marvin powinien był pani powiedzieć, że o tej porze roku jest tu jeszcze bardzo zimno.

- Tak - mruknęła Corey. - Jest wiele rzeczy, o których Marvin mi nie powiedział. - Zwłaszcza tego, że ma w domu dziewczynę, która na niego czeka, pomyślała.

Po wizycie u ojca Rity i rozmowie z nim, dzień niemal dobiegał końca.

Wróciły na rancho, gdy Estella zaczęła właśnie przygotowywać kolację. Rita czuła się w kuchni jak w domu, Estella chętnie przyjęła jej pomoc, a Corey zaoferowała się, że nakryje do stołu.

Potem usiadła z Jimem, który czytał w salonie gazetę i palił fajkę.

- No, muszę powiedzieć, że w pierwszym dniu pani pobytu tutaj czułem się bardzo samotny. Wy, kobiety, nie macie serca, zostawiając mnie tu samego tylko z Estellą do towarzystwa. Co pani dzisiaj robiła?

- Jak może nam pan robić takie wyrzuty, gdy właśnie przygotowujemy dla pana pyszną kolację? Teraz wygląda pan znacznie lepiej niż rano. Pewnie wziął pan tabletki, prawda?

Jim przytaknął. - Spałem prawie cały dzień. Zdaje się, że Rita jednak miała rację.

Corey zaśmiała się. - Niechętnie pan to przyznaje, prawda?

Teraz Jim też musiał się roześmiać, a gdy Estella zawołała ich na kolację, Corey zauważyła, że porusza się o kulach o wiele sprawniej.

Po kolacji Corey pomogła Estelli przy zmywaniu. Rita i Jim siedzieli w salonie i rozmawiali.

- Jim wydaje się być w lepszej formie, nie sądzi pani., Estello? - spytała Corey. - Dzisiaj rano, gdy Marvin wyjechał, przykro było na niego patrzeć.

Starsza kobieta skinęła i spojrzała na Corey. - Nie powinno być pani przykro - powiedziała. - Marvin zrobił to, co musiał, nie czyniąc z tego problemu. Jim o tym wiedział i dlatego czuł się winny, to wszystko.

- Ale dlaczego miałby czuć się winny? Przecież nic nie może na to poradzić, że złamał nogę.

Estella zacisnęła usta i spojrzała w szeroko otwarte oczy Corey. - Zawsze ci nieszczęśnicy. Ten chłopak miał serce dla samotnych i zagubionych, od kiedy miał cztery lata i przyniósł psa ze złamaną łapą. Wielkie oczy i niewinne spojrzenie, to właśnie sobie pomyślałam.

Corey usiadła. - O czym pani mówi, Estello, albo raczej o kim?

Estella uśmiechnęła się. - Wygląda pani dokładnie tak, jak ona... jak jego matka. Chciała, żeby został lekarzem, jak jego ojciec.

- Kto, Marvin? - spytała Corey zaskoczona, że Estella opowiada jej coś o rodzinie. Rita powiedziała przecież, że Estella jest bardzo skryta.

Estella skinęła. - Tak, jego rodzice zginęli w katastrofie lotniczej, Marvin ukończył wtedy studia na chirurgii, a Jim był jeszcze nastolatkiem. Marvin był zawsze powodem kłótni między rodzicami. Jego matka chciała, żeby studiował medycynę, a ojciec, żeby przejął rancho. Obojga nie mógł zadowolić, więc zdecydował się na medycynę. Ale wiem, że zawsze bardzo kochał rancho i najchętniej by tu pozostał.

Corey, Zmieszana, potrząsnęła głową. - Ależ, Estello, nie rozumiem tego. Jeśli tak bardzo kochał rancho, dlaczego nie został? Marvin jest człowiekiem

o tak silnej woli, że nawet matka nie mogłaby go zmusić, by zrobił coś, czego sam nie chciał.

- To ze względu na ojca. Obaj byli sobie bardzo bliscy, a jego ojciec robił wszystko dla jego matki. Była chorowita i po prostu nie mógł jej niczego odmówić. Dlatego w końcu poprosił Marvina, by jej ustąpił, i Marvin to zrobił. Sądził, że jego matka nie pożyje długo, ale ona pokonała chorobę. Jednak wtedy było już za późno, Marvin odkrył, że ta praca mu się podoba. Wie pani, niewielu ma tak błogosławione ręce. Gdy jego rodzice zginęli w katastrofie, a Jimmy został sam w domu, oh utrzymywał rodzinę. Każdego centa przysyłał do domu, aby rancho mogło funkcjonować normalnie. Zatrudnił zarządcę, aż Jimmy był dostatecznie dorosły, by przejąć kierowanie ranchem. W tym czasie Marvin podróżował po całym świecie i zarabiał bardzo dużo pieniędzy, ale z jego listów wywnioskowałam, że nie był szczęśliwy. Wykorzystywał każdą okazję, by wrócić do domu i pracować na rancho. Jim zrobił z rancho to, czym jest dzisiaj, ponieważ Marvin dał na to pieniądze. Nie zawsze byliśmy tak bogaci, musi pani wiedzieć. Dopiero w ostatnich latach rancho utrzymuje się samo, a nawet przynosi zyski, teraz Marv może wreszcie wrócić do domu.

Corey upiła łyk kawy i wpatrywała się przed siebie. Samolubny Nazwała go samolubnym, a teraz chętnie cofnęłaby te słowa. Marvin zrezygnował z tego, co najbardziej kochał, tylko po to, by zadowolić dwoje ludzi, na których najbardziej mu zależało.

- A Rita? - spytała. Estella spojrzała na nią z boku. - Och, Rita jest całkiem w porządku.

Jeśli pogra właściwie, pewnego dnia zostanie panią Riordan. A ja cieszę się, że będę ją tu mieć na zawsze. Ona jest taką miłą dziewczyną. Corey skinęła machinalnie. - Ma pani rację, Estello. Dla Riordana to doskonała żona. Ale teraz musi mi pani wybaczyć, jestem naprawdę bardzo zmęczona. - Wstała i chciała wyjść z kuchni.

- Jutro nauczę panią kilku sztuczek z mojej kuchni, Corey - zawołała za nią Estella. - Najwyższa pora, żeby poznała pani drogę do serca mężczyzny. Każda dziewczyna w pani wieku powinna umieć gotować!

W następnych dniach Corey zagrzebała się w pracy. Uczyła się gotować i pomagała Jimowi w pracy biurowej. Za każdym razem, gdy słyszała na zewnątrz kroki, serce biło jej szybciej, bo myślała, że to Marvin. I za każdym razem przeżywała rozczarowanie, gdy okazywało się, że to tylko któryś z jego pracowników.

Corey chętnie spędzała czas z Jimem i praca też sprawiała jej przyjemność. Czas upływał jej szybko, bo Jim opowiadał jej o Marvinie, o ich młodości. Z każdego słowa widać było, że ma ogromny respekt dla brata i jest do niego bardzo przywiązany.

Corey nie potrzebowała już chustek, jej srebrnoblond loki miały długość zapałki i otaczały jej twarz. Czuła się i wyglądała lepiej niż kiedykolwiek. Gdy nie siedziała z Jimem nad księgami, uczyła się od Estelli. Cieszyła się, że może teraz wejść do kuchni i nie czuć się piątym kołem u wozu. Estella była surowa, ale cierpliwa, a Corey miała zapał do nauki. Pewnego dnia podczas kolacji Jim zauważył ze zdziwieniem, że Estella nigdy dotąd nie mogła ścierpieć kogoś obok siebie w kuchni. Rita zgodziła się z nim. - Ja nie odważyłabym się przestąpić progu kuchni, gdy ona gotuje.

- Prawdopodobnie dlatego, że jesteś najlepszą kucharką w okolicy - powiedział Jim i dodał pospiesznie: - Poza Estellą naturalnie.

Corey zauważyła, że Rita zaczerwieniła się przy słowach Jima. Przez cały wieczór była potem dziwnie milcząca.

Tego dnia było zimno, niebo było błękitne i bez jednej chmurki. Corey była sama w domu, Estella, Rita i Jim pojechali do Durango. Jim miał mieć zdjęty gips i założony opatrunek umożliwiający chodzenie. - Corey chciała spróbować upiec chleb. Estella przed wyjazdem wyjęła z pieca kilka bochenków chleba, których kuszący zapach rozchodził się po całym domu.

Corey włożyła najstarsze dżinsy i duży sweter Rity. Fartuch Estelli sięgał jej prawie do stóp. Przez piętnaście minut zagniała ciasto, jak poleciła jej Estella, i nuciła- przy tym wesoło. Jak dotąd, jej próby upieczenia chleba sromotnie zawiodły. Albo woda do drożdży była za ciepła i ciasto nie wyrosło, albo dodawała podczas zagniatania za mało mąki. Tym razem postanowiła zrobić wszystko jak należy.

Niecierpliwie spojrzała na zegarek, palce zaczynały już ją boleć. Z westchnieniem odgarnęła sobie ramieniem lok z czoła, potem dosypała trochę mąki i zagniała dalej. - Do licha - mruknęła cicho. Zapomniała o podstawowej regule przy gotowaniu... by zawsze mieć pod ręką wszystkie składniki, zanim zacznie się pracę. Ze złością potrząsnęła głową, potrzebowała więcej mąki. Wytarła palce w fartuch i przysunęła krzesło do dużego kredensu. Wspięła się ostrożnie i zaczęła szukać mąki. Na czubkach palców balansowała z dużym workiem nad głową. - Jeśli go upuszczę, Estella mnie zabije - mruknęła.



Nie słyszała, jak za jej plecami powoli otworzyły się drzwi. Para opalonych rąk, które sięgnęły do worka z mąką, wprawiła ją w osłupienie. Szeroko otwartymi oczami patrzyła na Marviną.

Objął ją obiema rękami w talii i zdjął z krzesła. Jego spojrzenie prześliznęło się po jej twarzy, szeroko otwartych oczach i drżących wargach. Potem sięgnął po ścierkę i wytarł jej mąkę z twarzy.

- Zamknij oczy, Corey - powiedział cicho.

Corey spełniła jego życzenie, niezdolna zaprotestować. On jest tutaj, krzychało coś w jej duszy. Tęskniła za nim jak szalona przez ostatnie trzy tygodnie i teraz najchętniej rzuciłaby mu się w ramiona. Jak wspaniale, że wrócił do domu... do niej... i jak wspaniale byłoby, gdyby tak mogło pozostać na zawsze. A potem poczuła jego wargi na swoich. Bez zastanowienia odwzajemniła pocałunek i nakazała milczenie temu głosowi w duszy, który mówił jej, że on należy do innej... szła wyłącznie za głosem uczucia.

Oplotła ramionami jego szyję i przycisnęła się do niego. Zapomnieli o wszystkim wokół.

Marvin oderwał się od niej z cichym jękiem. - Marzyłem o takim powitaniu - szepnął. - Tak wiele nocy spędziłem pod gołym niebem... zbyt wiele samotnych nocy. - Dotknął ustami jej skroni i przyciągnął ją do siebie. Wtuliła się w niego i pragnęła, by ta chwila trwała wiecznie.

W końcu Marvin podniósł głowę. - Co tu tak ładnie pachnie? - zapytał.

- Chleb. Właśnie wyjęłam go z pieca.

Marvin uniósł brwi ze zdziwienia, a potem uśmiechnął się. ~ Nie wierzę, żebyś upiekła chleb, Corey, mój skarbie.

Potrząsnęła głową. - Nie. Upiekła go Estella. Ale ja się uczę... to znaczy, ona...

Zaśmiał się głośno. - Czy chcesz mi powiedzieć, że udało ci się znaleźć drogę do serca nieprzystępnej Estelli? Naprawdę uczysz się gotować, Corey Banyon?

Rumieniec wypłynął na jej policzki, gdy wysunęła się z jego objęć.

- Próbuję przynajmniej!

Marvin znowu wziął ją w ramiona. Corey spojrzała na niego i przerażona odwróciła głowę, gdy uświadomiła sobie, że znowu chce ją pocałować. - Proszę, Marvin, nie... Rita... - poprosiła drżącym głosem, gdy napotkała jego spojrzenie.

- Nie zamierzam teraz mówić o Ricie - odparł. - Zupełnie co innego mi w głowie. - Nachylając się znowu do jej ust, zapytał: - Gdzie reszta?

- Wszyscy pojechali do miasta. Jim ma dostać dzisiaj nowy opatrunek. Proszę... Marvin... ja - myślę, że nie...

Obiema rękami objął jej twarz. - Przestań myśleć, Corey, mój skarbie - mruknął.

Potem przycisnął wargi do jej ust. Corey czuła, że kolana ma zupełnie miękkie. Nagle Marvin podniósł ją, wziął na ręce i zaniósł do jej pokoju. Corey oplótła ramionami jego szyję, zamknęła oczy i poddała się uczuciom... jego sile i palącemu pożądaniu w jej wnętrzu. Całe jej zdecydowanie, logiczne myślenie i świadomość, że on przecież należy do Rity, poszły w zapomnienie. Chciała należeć do niego, czuć na sobie jego ciało i kochać się z nim, nawet gdyby to miała być tylko chwila.

Tylko uczucia liczyły się w tym momencie, gdy Marvin zamknął nogą drzwi i położył ją na łóżku. Niecierpliwym ruchem zrzucił kurtkę i usiadł obok Corey na łóżku. W jego oczach lśniło pożądanie, z jej spojrzenia była tęsknota, którą tylko on mógł uciszyć.

Wplótł palce w jej krótkie loki, a na jego twarzy pojawił się uśmiech.

- Jesteś taka słodka, Corey - mruknął cicho. - Tak mała i drobna, tak krucha... a ja tak bardzo cię pragnę... chcę cię mieć całą, na zawsze. Tak długo czekałem na tę chwilę, o wiele za długo... - Ukrył twarz w jej włosach. - Pachniesz tak ładnie. - Chwycił zębami płatek jej ucha.

- I nawet smakujesz tak pysznie... chcę cię mieć, Corey... teraz... chcę cię mieć! - Szybkim ruchem zdjął jej fartuch i sweter. Jęknęła cicho, gdy czubkami palców pogładził jej piersi. Drżącymi palcami rozpięła guziki jego koszuli, niecierpliwie zsunęła ją z jego ramion. Jego usta dotknęły jej piersi i pieściły je czule. Gdy palce Corey przesunęły się do jego paska, Marvin jęknął. Szybko rozpiął suwak dzinsów i zsunął je przez biodra. Corey poczuła zimno, gdy Marvin wstał, by się rozebrać, ale już po chwili znowu ogrzewał ją swoim ciepłem.

Corey straciła poczucie czasu i przestrzeni, gdy poczuła ciało Marvina na swoim. Jęknęła cicho jego imię. Zamknął jej usta pocałunkiem, przycisnął ją do poduszki, aż zaczęła wic się pod nim i prosić, by zaspokoił jej pożądanie, dał to, do czego tęskniła.

Nagle poczuła, jak Marvin odsunął się od niej, usłyszała, jak cicho zaklął. Krew szumiała jej w uszach, Corey potrzebowała sporo czasu, by uświadomić sobie, co się stało. Przerazona otworzyła oczy. Marvin wstał, a ona patrzyła upokorzona, jak ubiera się pospiesznie. Daremnie próbowała stłumić drżenie swojego ciała.

Marvin podszedł do łóżka i przykrył ją kołdrą. Zawahał się, a potem szybko ją pocałował. Łzy napłynęły jej do oczu, gdy zobaczyła jego rozniewany wzrok, po chwili opuścił pokój i cicho zamknął za sobą drzwi.

Gwałtowny szloch wstrząsnął ciałem Corey, łzy płynęły po jej twarzy. Palilo ją niezaspokojone pożądanie. Dopiero po chwili usłyszała na zewnątrz głosy i głośny śmiech. Podniosła głowę i nasłuchiwała przez chwilę. Rita i Jim wrócili do domu wcześniej niż przypuszczała, a Marvin ich usłyszał. Znowu wtrącił się los i przeszkodził mu ją kochać.

RS

## ROZDZIAŁ 11

Ku zaskoczeniu Corey, - kolacja minęła nadspodziewanie gładko. Marvin był odprężony i wesoły, odpowiadał na tysiące pytań Jima na temat spędzania owiec. Miał zamiar zostać tylko dwa dni, potem musiał wrócić do obozu. Corey zachodziła w głowę, po co w ogóle przyjechał.

Jim miał teraz elastyczny opatrunek, mógł poruszać się swobodniej i był o wiele weselszy. Rita była dziwnie cicha.

- To, co się zaczęło, należy doprowadzać do końca - powiedziała Estella, gdy Corey przyszła po kolacji do kuchni, by jej pomóc. Wskazała na czysty stół, na którym Corey zostawiła przedtem ciasto na chleb. Gdy Corey zmieszana zaczęła jąkać przeprosiny, oczy Estelli zabłysły. - Nie będziemy o tym więcej mówić - powiedziała, a Corey przypuszczała, że nie chodzi tu tylko o ciasto.

Corey usiadła na bujanym fotelu na tarasie i patrzyła w niebo. Czuła, że spoczął na niej wzrok Marvina, ale zmusiła się, by na niego nie patrzeć.

- Dlaczego przyjechałeś do domu, Marvin? - zapytał Jim. - Spodziewaliśmy się ciebie dopiero za tydzień.

Marvin wzruszył ramionami. - Przyjechałem, by dotrzymać obietnicy, jaką dałem Corey. - Gdy Corey zauważyła, że wszyscy na nią patrzą, spojrzała na Marvina.

- Jakiej obietnicy? - zapytała cicho.

- Gdy przyjechałaś tu prawie miesiąc temu, powiedziałem, że czeka na ciebie kilka niespodzianek. Jedną z nich chciałbym teraz zrealizować.

- A co to ma być, Marvinie R?ordan? - chciała wiedzieć Estella. Marvin przeciągnął się. - Zabieram Corey jutro do Silverton.

Rita pisnęła z zachwytem. - Pojedziecie kolejką wąskotorową? - Gdy Marvin skinął, zawołała podniecona: - Och, Corey, co za wspaniały pomysł! Tej podróży nigdy nie zapomnisz!

Corey wcisnęła się głębiej w fotel. Mogę to sobie wyobrazić, pomyślała. Co Marvin zamierza? Rita i Jim mówili teraz jednocześnie, robiąc plany.

- Pojedziemy wszyscy we czworo! Teraz z tym elastycznym opatrunkiem mogę się z wami wybrać - powiedział Jim.

- Nie tak szybko, panie Riordan - przerwała mu Rita. - Tylko dlatego, że masz elastyczny opatrunek, sądzisz, że możesz iść do Silverton i z powrotem. Zostaniesz grzecznie w domu, a żeby być pewną, że to zrobisz, zostanę z tobą. Marvin może jechać tylko z Corey. - Przy słowach Rity Corey zamknęła oczy. Nie chciała być sama z Marvinem, to nie było dobre dla nich obojga.

Zaskoczyło ją, gdy Marvin zwrócił się do Rity i powiedział cicho: - Miałem nadzieję, że to powiesz. - Rita uśmiechnęła się, ale Jim był nadal nadąsany.

- Naprawdę, Marvin, myślę, że powinniśmy pojechać razem. Możemy przecież poczekać, aż z nogą Jima będzie lepiej - poprosiła Corey.

- Nie, Rita ma rację, Corey. Ja tylko bym wam przeszkadzał. Zostanę w domu, a Rita może pomóc mi w pracy. Lepiej będzie, jak pojedziesz tylko z Marvinem, będzie ci mógł bez przeszkód wszystko pokazać. - Jim westchnął, ale zaraz się roześmiał, gdy Rita dała mu kuksańca w bok.

Corey wstała. - Ponieważ najwidoczniej ja nie mam w całej sprawie nic do powiedzenia, wybaczycie mi z pewnością, chciałabym pójść spać. Zdecydowaliście przecież, że mam jutro jechać do Silverton, czy tego chce czy nie - zauważyła rozbawiona.

- Wszystko, co robimy, jest tylko dla twego dobra, Corey, mój skarbie - oświadczył Marvin.

Corey spojrzała na niego. - Wszystko? - spytała cicho. Marvin zmarszczył lekko czoło i spoważniał. - Wszystko - odparł. - Wszystko, Corey.

Corey rzucała się niespokojnie w łóżku z boku na bok, nie mogła zasnąć. Myśli krążyły jej w głowie i słyszała każdy szmer, który docierał do niej przez uchylone okno. W pokoju było dziwnie duszno. W końcu wstała, zdjęła ciepłą koszulę i wyciągnęła z szafy jedną z cieńszych. Usłyszała ciche pukanie do drzwi i drgnęła przestraszona. - Corey?

- Zamknęła oczy, gdy poznała cichy głos Marvina. Szybko wśliznęła się do łóżka i usłyszała, że otwiera drzwi i zapala lampkę.

Serce biło jej dziko, gdy usiadł koło niej na łóżku.

Marvin... czego chcesz? - szepnęła. - Jest już późno i nie powinieneś tu być... to znaczy... jeśli Rita albo Estella do mnie zajrzą...?

- Przerwała, gdy ich spojrzenia się spotkały. Marvin zmarszczył czoło.

- Ależ, Corey Banyon, czy chcesz przez to powiedzieć, że wszystko by było w porządku, gdybym był w twoim pokoju, jeśli nie byłoby Estelli czy Rity?

- Nie! To znaczy... a więc, Marvin! Proszę, wyjdź, jestem zmęczona.

- Marvin zaśmiał się i wziął swój czarny neseser. - Właściwie nie miałem żadnych złych myśli, choć dzisiaj po południu zupełnie na to nie wyglądało. Ale ty wyglądałaś tak uroczo, a ja byłem taki wygłodniały... Moje pożądanie nie ma zupełnie nic wspólnego z powodem mojej wizyty. Rozmawiałem z Ritą i Jimem.

Spojrzała na niego zmieszana. Było w nim coś innego, ale nie potrafiła powiedzieć, co.



- O czym rozmawialiście?

- O tobie, naturalnie. Rita opowiadała mi, że pracowałaś codziennie co najmniej osiem godzin, chociaż Jim radził ci, byś odpoczęła i rozejrzała się po ranchu. - Westchnął. - Gdybym chciał, żebyś pracowała, to zostawiłbym cię w Denver, Corey. Osiem godzin pracy dziennie zostawiłaś przecież Danowi.

Corey machnęła ręką. - Wcale tak dużo nie pracowałam. Mogłam przynajmniej robić coś konstruktywnego. Poza tym robiłam przecież inne rzeczy, pomagałam Estelli w kuchni, dużo się od niej nauczyłam. Może nie kładłam się tak często, jak chciała tego Rita, ale byłam naprawdę grzeczna, Marvin! - Szybko odwróciła wzrok, gdy poczuła, że łzy napływają jej do oczu. - Odkąd umarł mój ojciec, nigdy tak wielu ludzi się o mnie nie troszczyło. Jestem przyzwyczajona decydować o wszystkim sama i troszczyć się sama o siebie. Tu jestem za bardzo rozpieszczana! - Spróbowała się uśmiechnąć.

Marvin wzruszył ramionami. - Robimy, co możemy - przyznał. - Tak łatwo cię rozpieszczać, Corey... tak łatwo. - Zamarła w bezruchu, gdy pogładził palcem jej szyję. Potem jego ręka prześliznęła się powoli głębiej, do jej piersi. - Jesteś tak delikatna i godna pożądania - szepnął.

Corey zamknęła oczy, nie była zdolna poruszyć się ani zaprotestować. Chciała, żeby przestał, a jednocześnie chciała, by zawsze ją tak głaskał. Westchnęła, gdy jego wargi dotknęły jej ust tak lekko, że zastanawiała się, czy nie wyobraziła sobie tego pocałunku.

Ale gdy opadła na poduszkę, Marvin nagle odsunął się od niej.

- Proszę, Corey, usiądź na chwilę, chciałbym cię zbadać. - Wyjął z torby oftalmoskop i pochylił się nad nią. Gdy patrzyła, w jeden punkt na ścianie za nim i próbowała uspokoić głośno bijące serce, dziwiła się jego nagłą przemianą. Jeszcze przed chwilą był mężczyzną, który jej pragnął i próbował ją uwieść, a teraz był już tylko lekarzem, który bada swoją pacjentkę.

- Bardzo dobrze - powiedział po chwili z uśmiechem. - Cokolwiek robiłaś, w niczym ci to nie zaszkodziło. Ale to pewnie zasługa naszego czystego powietrza.

Corey zmusiła się do lekkiego tonu. - W takim razie mogę już pewnie zostać wypuszczona, prawda, doktorze?

- To zależy od tego, co masz na myśli, Corey. Nadal jesteś moją pacjentką i na razie zostaniesz na ranchu, ale powoli możesz myśleć o tym, by wziąć sobie urlop. Może nawet pozwolę ci jeździć konno.

- Marvin spojrział na nią kpiąco. - Mój brat opowiadał mi, że koniecznie chciałaś zobaczyć stajnię, a Hank mówił, że bardzo ci się podoba ta nowa klacz Dancing Belle.

Oczy mu zabłyśły, gdy zauważył jej radość. Corey oplótła ramionami jego szyję i zawołała zachwycona: - Och, Marvin, dziękuję! Po tym wszystkim, co mówiłam o koniach, sądziłam już, że nie pozwolisz mi się nawet do nich zbliżyć!

Objął ją mocno. - Nigdy nie mógłbym ci niczego odmówić, Corey... jeśli tylko jesteś szczęśliwa i... - Marvin przerwał, gdy usłyszał pukanie. Zaraz potem drzwi się otworzyły i weszła Estella z dzbankiem kakao i filiżanką. Gdy ich zobaczyła, mruknęła: - Nie powinieneś siedzieć na łóżku, Marvinie Riordan. Co by ludzie na to powiedzieli? Dobrze, że nikt inny was tak nie zobaczył.

- To była tylko wizyta lekarska, Estello. Gdybyś przyszła wcześniej, przekonałabyś się o tym. Ależ to wspaniale pachnie, czy mogę też dostać filiżankę? - Zaśmiał się, gdy Estella naskoczyła na niego: - Wynoś się!

To dla Corey. To dziecko musi się przespać. A jeśli chcesz ją zabrać jutro do Silverton, to lepiej zrobisz, jeśli wyjdiesz! - Spojrzała z zadowoleniem, gdy opuszczał pokój.

Corey uśmiechnęła się z wdzięcznością do Estelli i wypita kakao. Po chwili wtuliła się w poduszkę i zasnęła.

Corey siedziała w kolejce wąskotorowej i wyglądała przez okno. Gdy pociąg zatrzymał się w polu, zobaczyła zdziwiona, jak trzech mężczyzn wysiedli z wędkami.

- Co oni robią?

- Zostaną tu i będą łowić ryby w strumieniu, aż pociąg będzie wracał z Silverton. Lubisz ryby, Corey?

- Tak, ale jeszcze nigdy ich nie łowiłam. W takiej okolicy to musi być wspaniale.

- Może wybierzemy się kiedyś razem na ryby - stwierdził Marvin.

- To jest z pewnością o wiele lepsze niż patrzeć z okna w biurze na miasto ze szkła i stali, prawda?

Corey spojrzała na niego, uświadomiła sobie dwuznaczność jego słów.

- Mówisz dokładnie jak wujek Matt - powiedziała. - Czy rozmawiałeś z nim o mnie? Co on ci o mnie opowiadał? Albo Dan... czy z nim też o mnie rozmawiałeś? - Spojrzała na niego z wyrzutem.

Marvin skinął powoli. - Powiedział mi tylko, że nic sobie nie robisz z młodych mężczyzn w szarych garniturach, nawet jeśli możesz wśród nich

wybierać. Tu zresztą nie znajdziesz takich. Ale może spotkasz kowboja i ulegniesz mu, Corey. Byłabyś wspaniałą żoną rancher?, zwłaszcza jeśli chodzi o pieczenie chleba. - Zaśmiał się cicho.

- Dziękuję, doktorze Riordan, ale nie potrzebuję nikogo, kto mnie będzie pętał, a wuj Matt i Dan mówią za dużo! Wcale nie szukam żadnego mężczyzny. - Corey odwróciła się, by nie widział jej oczu. Nie, nie szukała, bo już znalazła mężczyznę, jedyne, za którego mogłaby wyjść. A ten mężczyzna ożeni się z inną.

- No, z tym mogę się zgodzić, mój skarbie, ale wielu mężczyzn szuka odpowiedniej kobiety. A jeden z nich tutaj już wkrótce cię podbije. Nadal trudno jest znaleźć dobrą żonę. - Jego kpiący ton sprawiał jej ból, szybko zamknęła oczy i westchnęła.

Pisk hamulców przywrócił ich do rzeczywistości. Pociąg dotarł do Silverton i ludzie szykowali się do zwiedzania miasta.

Marvin wyskoczył z pociągu, wziął Corey na ręce i postawił ją na ziemi. Zaczęli zwiedzać miasto. - Tu jest dokładnie tak, jak na filmach z Dzikiego Zachodu - zawołała Corey, gdy minęli pierwsze domy.

Marvin zaśmiał się. - To dlatego, że wiele razy widziałaś to miasto. Jego sceneria była wykorzystywana w wielu filmach, przemysł filmowy i turyści to główne źródła dochodów tego miasta.

Gdy wrócili na rancho, Corey była wyczerpana. Estella czekała na nią z kolacją, a Jim uparł się, by usmażyć dla niej steki na grillu. Jak na to, że spędził cały dzień sam na ranchu, był w wyjątkowo dobrym humorze.

Po kolacji Corey wyszła na taras i przysłuchiwała się rozmowie pozostałych. Rita siedziała obok Marvina i rozmawiali o czymś cicho. Od czasu do czasu dochodził do niej śmiech Rity, ale Corey zmuszała się, by nie patrzeć w ich stronę, tylko koncentrowała się na obserwowaniu zachodu słońca.

Po kolacji Marvin uparł się, że pojedzie do obozu, by sprawdzić, jak przebiega spędzanie owiec. Odchodząc do stajni, odwrócił się i zawołał do Corey: - Jutro będziesz mieć pierwszą lekcję jazdy konnej na Dancing Belle. Spij dobrze, na pewno nie wrócę przed jedenastą.

- Odjechał, zanim zdążyła mu odpowiedzieć. .

Estella zniknęła w kuchni, a Jim poszedł do salonu. Corey i Rita zostały same na tarasie. - Jesteś taka cicha, Corey. Dobrze się czujesz?

- Corey już dawno przeszła z Ritą i Jimem na „ty”, ostatnie tygodnie bardzo ich do siebie zbliżyły.

Corey zamknęła oczy z uśmiechem i wtuliła się głębiej w fotel.

- Jestem trochę zmęczona, ale bardzo zadowolona. Dzisiejszy dzień był wspaniały. Jeszcze nigdy nie widziałam tak pięknego krajobrazu, tak nieokiełznanego i dzikiego, po prostu musi się go kochać.

Rita skinęła z uśmiechem. - Trochę jak Marvina, prawda?

- Jak Marvina? - spytała Corey, zastygając bez ruchu. - Nie rozumiem, co masz na myśli.

Rita zaśmiała się cicho. - Marvin jest tak samo nieokiełznany i dziki. I też wygląda bardzo dobrze. - Westchnęła. - Kochałam go, odkąd sięgnę pamięcią. Jako nastolatka byłam jego zaprzysięgłą wielbicielką. Dziwne, jak rozwijają się wypadki... kto by pomyślał, że po całym tym czasie... ach, ale za dużo gadam... opowiedz mi o waszej wyprawie. Na pewno nie żałujesz, prawdą, Corey?

Corey cieszyła się, że jest ciemno i Rita nie może widzieć łez, które napłynęły jej do oczu. Opowiadała o dniu spędzonym w Silverton, aż poczuła, że dłużej tego nie zniesie. Rita nie musiała kończyć zaczętego zdania, ona zrozumiała ją i tak, to było zbyt oczywiste. Kto by pomyślał, że po tych wszystkich latach poślubi Marvina.

- Rito, myślę, że się położę. Wybacz mi, to był naprawdę wyczerpujący dzień.

- Naturalnie, Corey. Idź do łóżka i wyśpij się. Jeśli Marvin jutro rzeczywiście chce zacząć uczyć cię jazdy konnej, musisz być wypoczęta. On potrafi być bardzo niecierpliwy. Wiem, bo mnie też uczył siedzieć na koniu. - Zaśmiała się.

## ROZDZIAŁ 12

Corey popatrzyła bojaźliwie w duże, brązowe oczy konia, przełknęła nerwowo ślinę i chwyciła wodze, jak pokazywał jej Marvin, Podziwiać konia z daleka to było zupełnie co innego niż próbować usiąść w siodle.

- Na filmach wygląda to zawsze tak prosto - stwierdziła i skrzywiła się. - Jesteś pewien, że tak jest dobrze, Marvin? Sądzę, że ten koń jest o wiele za duży dla mnie. - Rozejrzała się, kilku robotników rancho obserwowało ją z ironicznymi uśmiechami.

Marvin obserwował, jak Corey usiłuje dosiąść konia. - Corey, skarbie, musisz spróbować objąć brzuch konia nogami. Nie możesz balansować, trzymając się sztywno wodzy. I powinnaś mieć też bardziej zadowoloną minę. W końcu to tobie tak bardzo podobała się Dancing Belle.

Corey spojrzała na niego ze złością. - Nie mogę objąć konia nogami, jest o wiele za gruby! A moje nogi są o wiele za krótkie, Marvin! Nie masz nic mniejszego?

Teraz robotnicy zaśmiali się głośno, Marvin próbował stłumić zniecierpliwienie. - Corey, na miłość boską! Bądź rozsądna! Nie wypróbuj się konia, by sprawdzić, czy pasuje. To ty musisz nauczyć się dopasowywać do konia. Dałem ci najmniejszego konia na ranchu, musisz się tylko trochę postarać! Chodź, zapomnijmy o tym. Ty jesteś mieszcuchem, to był z mojej strony głupi pomysł, żeby cię wsadzać na konia. Zsiądź, pojedziemy samochodem.

Gdy próbował pomóc jej zejść z konia, odepchnęła jego ręce. - O nie, mój drogi. Nie zsiądę z tego konia, dopóki sama nie zechcę, Marvinie

Riordan! Ja tak szybko nie rezygnuję! A teraz przestań traktować mnie, jakbym była ze szkła... nie połamię się.

Corey spojrzała na niego ze złością. Ich spojrzenia spotkały się. Żadne z nich nie chciało ustąpić, dopiero jeden z robotników przerwał ten wzrokowy pojedynek. - Hej, Marvin... - zawołał. - Co mam zrobić z tym koszem piknikowym? Estella powiedziała, że masz się z tym obchodzić ostrożnie, chce go dostać z powrotem w całości.

Marvin odwrócił się do niego i wskazał na konia jucznego, który Był przywiązany do płotu. - Przymocuj go do Brandy, Jack. Jak widzę, będziemy mieć jednak piknik, kobiety w tym domu wydają się być zdecydowane! - Spojrzał na Corey i dosiadł swojego konia.

Corey uśmiechnęła się i skoncentrowała na wodzach, które trzymała tak, jak pokazał jej Marvin. Nadal bała się siedzieć na koniu, ale nie chciała tego



pokazać Marvinowi. Lekko trąciła konia piętami i była zdziwiona, gdy poszedł za koniem Marvina. Marvin obejrzał się na nią.

Wszystko w porządku? - spytał cicho. Corey skinęła i odjechali z ranca.

Mniej więcej po godzinie stwierdziła, że wreszcie się odprężyła. Poruszała się w rytm konia i podziwiała piękny krajobraz. Od czasu do czasu Marvin odwracał się do niej i uśmiechał się, dodając jej odwagi.

Plusk wody przypomniał Corey, jak bardzo jest spragniona. Ucieszyła się, gdy Marvin się zatrzymał i zszedł z konia. Przywiązał go i podszedł do niej, by pomóc jej zejść. Gdy dotknęła stopami ziemi, jęknęła. Plecy ją bolały, nogi się pod nią uginały. Marvin ze śmiechem natarł jej plecy.

- Zakwaszenie mięśni będziesz pewnie miała przez kilka dni, Corey - stwierdził. Dlaczego nic nie mówiłaś, zatrzymałbym się wcześniej. Odsunęła się od niego i uśmiechnęła słodko. Tym razem nie pozwoli, by on miał ostatnie słowo. - Zakwaszenie mięśni nie jest niczym strasznym. Ale jestem głodna i spragniona. Możemy coś zjeść?

Marvin westchnął. - Dobry Boże, a ja chciałem ci pokazać moją tajemną kryjówkę. Nigdy nikogo tam nie zabrałem... a ty myślisz tylko o jedzeniu...

Z udawanym rozczarowaniem potrząsnął głową, potem zdjął kosz z prowiantem. - No, nie stój tak, dziewczyno, pomóż mi. Usiądziemy nad wodą, pod tamtą jodłą.

Corey usunęła kilka kamieni i rozłożyła koc. - Co jest w tym koszu? - zapytała.

- Hot dogi dla ciebie - zakpił z niej Marvin. - A dla mnie pieczona kuropatwa nadziewana naturalnym ryżem...

Corey otworzyła usta ze zdziwienia. - Nie wierzę. Pokaż - zaprotestowała i przyciągnęła kosz do siebie. Marvin zaśmiał się.

- Och, jakie to piękne! - zawołała. Ostrożnie wyjęła ręcznie rzeźbione kieliszki i butelkę wina. Przeczytała etykietę na butelce i spojrzała na niego zdziwiona. - Do diabła, doktorze Riordan, jestem pod wrażeniem. Czy to nie jest zbyt wykwintne na piknik?

- Nie wtedy, gdy ja planuję piknik, panno Banyon. Dla nas dobre jest tylko to, co najlepsze.

Rozpakowali kosz. Rzeczywiście była kuropatwa, do tego świeżo upieczone croissanty z masłem, dojrzałe gruszki, ser brie i angielskie biszkopty. Estella zapakowała im nie tylko srebrne sztuce i porcelanowe talerze, ale także lniane serwetki.

Po jedzeniu Marvin otworzył drugą butelkę wina.

- Czy wszystkie twoje pikniki są takie? Jestem naprawdę pod wrażeniem.

Marvin uśmiechnął się. - Właściwie, to był pierwszy raz. Dotąd nigdy tak się nie wysilałem. Corey ziewnęła sennie i zamknęła oczy. - Nie rozumiem.

- Pewnego dnia zrozumiesz - stwierdził z uśmiechem.

- Mogłabym się przyzwyczaić do takiego życia. Żadnych telefonów, żadnych narad... Nigdy nie czułam się tak dobrze, życie tutaj ma swoje zalety.

Marvin spojrział na nią. - W tej chwili ci się podoba, ale czy rzeczywiście mogłabyś zrezygnować ze swojego życia w mieście na rzecz tego tutaj? Powiedz szczerze, Corey, nie tęskniłabyś z czasem za tymi wszystkimi zajęciami?

Bądź szczerą... to znaczy, że nie ma miejsca na wspólną przyszłość z tym mężczyzną, tutaj... czy gdziekolwiek indziej. On się zdecydował, on zrezygnuje ze swojego zawodu lekarza i osiadzie tutaj... gdzie są jego korzenie... i Rita.

Corey wzruszyła ramionami. - Może będę nadal bywać na posiedzeniach zarządu, ale resztę pozostawię Danowi i kierownikom działów. Myślę, że będę podróżować i oglądać świat. Całe życie spędziłam na rozbudowywaniu tej spółki lotniczej, teraz potrzebuję czasu dla siebie... - Przerwała.

- Czasem to, czego by się chciało, jest dokładnie przed nami, mój skarbie. Musisz tylko patrzeć we właściwym kierunku - szepnął Marvin z naciskiem.

Chwilę siedzieli w milczeniu i patrzyli na wodę, ale wkrótce zasnęli. Gdy Corey się obudziła, Marvin spał koło niej. Przeciągnęła się i usiadła. Teraz wreszcie, miała okazję, by patrzeć na niego bez przeszkód. Potrzebowała wszystkich sił, by oprzeć się pokusie dotknięcia wargami jego ust.

Nie chciała go budzić, zeszła nad rzekę i usiadła na brzegu. Po chwili rzuciła spojrzenie na śpiącego Marvina i weszła na wystające z rzeki kamienie. Przeszła do dużego bloku skalnego, wspięła się nań, usiadła i patrzyła w wodę. Po pewnym czasie słońce zniknęło za chmurą i Corey zadrżała z zimna. Lepiej będzie, jak wróci na brzeg, zanim Marvin się obudzi. Ale gdy tylko zrobiła pierwszy krok, usłyszała nagle jego głos.

- Co do diabła przyszło ci do głowy, żeby wchodzić do takiej niebezpiecznej rzeki? Módl się, żebyś się nie ześliznęła i nie rozbiła sobie głowy o któryś z tych skalnych bloków. - Spojrział na nią ze złością i wiedziała, że ma rację. Naturalnie bał się, żeby się nie zraniła, a ona nie potrafiła go uspokoić.

Najlepszą obroną będzie chyba atak, pomyślała. - Nie ma powodu, żebyś się tak wydzierał. Nie chciałam ci przeszkadzać, więc przyszłam tutaj. Potrafię doskonale sama na siebie uważać i bez twojej pomocy poradzę sobie z tymi skałami!

Ku jej zaskoczeniu Marvin natychmiast ustąpił. Wspiął się z powrotem na brzeg ? usiadł na trawie.

- Ależ oczywiście, jakie to nierozsądne z mojej strony dyktować ci, co masz robić. Powiniennem przecież wiedzieć, że sama doskonale potrafisz o siebie zadbać. - Zamknął oczy i usiadł wygodnie. Na jego twarzy igrał uśmiech. Corey patrzyła na niego nieufnie. O wiele za szybko jej ustąpił.

Usiadła ponownie na bloku skalnym i obserwowała ryby. - Co cię tam tak fascynuje? - zapytał sennie Marvin.

- Tu są ryby o wspaniałych barwach... srebrne, błękitne, zielone i czerwone. Woda jest taka czysta, że widzę dno. Co to za ryby, Marvin?

- To są tęczowe pstrągi. Strumyki tu w górach są ich pełne, ale jest też sporo rybaków. A więc nie opowiadaj o tej rzece, nie chciałbym, żeby stała się zbyt znana.

- Ale dlaczego? - spytała zdziwiona.

Marvin otworzył oczy i spojrzał na nią przenikliwie. - To jest moja kryjówka... na mojej własnej ziemi. Mogę ją dzielić tylko z ludźmi, których sam wybiorę.

- Tak jak dzisiaj? - spytała. Gdy skinął, wstała i zaczęła ostrożnie balansować na skale.

- Potrzebujesz pomocy? - spytał ironicznie Marvin.

Teraz skały nie były już ciepłe i suche. Corey dumnie odrzuciła głowę i weszła na następny blok skalny. Prawie straciła równowagę i sama siebie zwymyślała, że była taka głupia. Droga w tamtą stronę była jakoś zdecydowanie łatwiejsza. Nie pomagało jej też to, że Marvin siedzi na brzegu i tylko czeka na to, że ona poprosi o pomoc.

Odgarnęła włosy z czoła. Dlaczego ta woda jest taka lodowata, gdy żar leje się z nieba? Corey nabrała powietrza i przeskoczyła na następną skałę.

Krzyknęła, gdy straciła równowagę i ześliznęła się do wody. Chociaż woda nie była bardzo głęboka, zanurzyła się cała i parszając wypłynęła na powierzchnię. Próbowwała walczyć z prądem i trzymać się skały, ale nie udawało jej się to.

Nagle znalazła się w ramionach Marvina. Gdy wyciągnął ją z wody, była całkowicie przemoczona i drżała z zimna, a on śmiał się z niej na całe gardło. Nie wiedziała, czy powinna mu dziękować, czy go zwymyślać, gdy zdecydowanymi krokami wspinał się na brzeg.

- Nie waż się powiedzieć ani jednego słowa, Marvinie Riordan, bo nigdy ci tego nie wybaczę! - syknęła. - Wiedziałeś, że wpadnę do wody, i powinienesz być mi pomóc jak dżentelmen. - Gdy zaczął rozpinać jej mokrą bluzkę,

odtrąciła jego ręce. Ale zanim zdążyła mu przeszkodzić, zdjął jej bluzkę sięgnął do suwaka dzinsów.

Nie zważając na protesty, zdjął jej także spodnie. - Nigdy nie mówiłem, że jestem dżentelmenem - stwierdził ze śmiechem. - I zaoferowałem ci swoją pomoc, mój skarbie, ale ty wolałaś poradzić sobie sama. A teraz za to zapłaciłaś! Przestań w końcu się bronić. Jeśli nie zdejmiesz tych mokrych rzeczy, nabawisz się zapalenia płuc. - Poczwała jeszcze, jak Marvin zdejmuje jej biustonosz i majtki. Szybko owinał ją kocem i wytarł do sucha.

Corey przyglądała się, jak Marvin rozkłada jej ubranie na nagrzaną od słońca ziemi, aby wyschło. Potem podszedł do niej, wziął ją na ręce i zaniósł z powrotem na miejsce, gdzie przedtem siedzieli. Wręczył jej kieliszek wina i usiadł obok niej.

- Wypij, to cię rozgrzeje - powiedział spokojnie. Pogładził ją czule po policzku, skóra zaczęła ją palić pod tym dotknięciem. Teraz była wobec niego całkiem bezsilna, wiedziała, że nie jest już w stanie ukrywać swoich uczuć.

Marvin ujął rękami jej twarz, tak że musiała na niego spojrzeć. - Mój Boże, jesteś taka piękna - szepnął. - Czy ty wiesz, co ze mną robisz, skarbie?

- Wiem tylko, co ty ze mną robisz, Marvin... i nie Chciałabym, żebyś przestał... wszystko inne jest mi teraz obojętne. Chcę tylko czuć... — Koc ześliznął się z ramion Corey, gdy Marvin przycisnął ją do siebie.

Oplotła ramionami jego szyję i przyciągnęła jego głowę. Pocałowała go czule, gładziła językiem jego wargi, aż jęknął, zerwał z niej koc, położył ją na nim i przykrył swoim ciałem.

Jego wargi ślizgały się po jej ciele i rozpałały w niej ogień, którego nie mogła znieść. Jęknęła i szepnęła jego imię. Jej palce powędrowały do paska jego dzinsów, niezręcznie próbowała go rozpiąć. Marvin pomógł jej, rozebrał się szybko i znowu wziął ją w ramiona. Jego usta powędrowały do jej piersi, ssał je, budząc w niej dreszcz pożądania.

- Corey... tak bardzo cię potrzebuję... nie zostawiaj mnie teraz... bądź ze mną - szepnął ochryple.

Skinęła tylko, słowa nie były tu potrzebne. Marvin wsunął kolano między jej uda i oparła się na rękach.

Żadne z nieb nie zauważyło, że słońce skryło się za czarną chmurą. Nie czuli nagłego chłodu, bo płomień, który się w nich palił, ogrzewał ich ciała. Nie zauważyli też, że konie stały się niespokojne. Liczyła się tylko ich namiętność i burza, która ogarnęła ich ciała. Ale gdy nagle zaczął padać zimny deszcz, parsknęli z przerażeniem. Nadal byli ciasno objęci, ale gdy

zauważyli, co się dzieje, zaśmiali się, wstali i ubrali się szybko. To, co się wydarzyło, pozostało ich tajemnicą.

RS



## ROZDZIAŁ 13

Corey obudził głośny śmiech Marvina i Rity. Leżała w ciemności, próbując sobie przypomnieć, jaki dzisiaj dzień, w końcu otworzyła oczy i spojrzała na zegarek. Północ! O tej porze wszyscy przecież śpią, dlaczego więc słyszała wyraźnie śmiech? Zmarszczyła czoło. Teraz rozpoznała także głos Jima.

Z pewnością wrócił Marvin, ale dlaczego tak późno robią tyle hałasu? Wyskoczyła z łóżka. Chciała powiedzieć Marvinowi, że wyjeżdża, i poprosić Ritę, by odwiozła ją następnego dnia na lotnisko. Marvin na pewno będzie wściekły, ale nic nie może zrobić.

Corey wyjrzała przez okno. Jim chyba już wszedł do domu, ale w jasnym świetle księżycy rozpoznała Marvina i Ritę. Rita objęła Marvina, a on przyciągnął ją do siebie. - Ślub, Marvin! - zawołała uszczęśliwiona Rita. - Nie mogę uwierzyć, że to prawda! Pani Riordan... Pani Rita Riordan! Och, Marvin, jestem taka szczęśliwa! Mogłabym wykrzyczeć to całemu światu.

Corey zapało dech, gdy zrozumiała to, co usłyszała. - Przypuszczam, że cała okolica już to słyszała, Rito - powiedział Marvin. - Wszyscy mężczyźni zzielenieją z zazdrości, każdy miał nadzieję, że to on pewnego dnia włoży obrączkę na twój palec, skarbie!

- Och Marvin, jestem taka szczęśliwa. Wiem, że tak samo na to czekałeś, jak ja! - Corey zamknęła oczy i odeszła od okna. Łzy płynęły po jej policzkach, szlochała gwałtownie. Powinna była to wiedzieć, już dawno przecież przypuszczała, że to się wydarzy, ale los obszedł się z nią zbyt okrutnie, czyniąc właśnie z niej świadka, gdy Marvin poprosił

Ritę o rękę. I dlaczego właśnie teraz, gdy spędził z nią cały dzień. Nienawidziła go. Jak mógł być taki nieczuły. Kochali się, podarował jej najpiękniejszy dzień w Życiu, a teraz zrobił z niego najnieszczęśliwszy. Jeszcze nigdy nie czuła się tak samotna. Coś pękło w niej w środku, gdy zobaczyła Marvina. Był najwidoczniej szczęśliwy, kochał Ritę tak, jak ona jego.

Corey podeszła do szafy i wyjęła walizkę. Przewyciężyła łzy, ale ból pozostał. Szybko spakowała swoje rzeczy i poszła pod prysznic.

Ubrała się, wzięła walizkę i torebkę i przeszła do drzwi. Zawahała się, postanowiła poczekać, aż wszyscy zasną. Napisała krótką kartkę dla Estelli i czekała do czwartej, aż wszyscy zasnęli.

Wszystko było proste. Wynajęty samochód stał koło domu. Corey postawiła walizkę na siedzeniu obok siebie i odjechała z domu Marvina... z

jego życia i od wszystkiego, co nauczyła się kochać. Po godzinie była w Durango. Oddała samochód na lotnisku.

Musiała czekać godzinę na samolot do Denver. Z ulgą weszła na pokład, cieszyła się, że Marvin nie zauważył jeszcze jej nieobecności. Może nawet spodziewała się, że pojedzie za nią. Teraz na pewno już wstał, praca na ranchu zaczynała się wcześniej, a jeśli używał jeepa, to musiał zauważyć, że nie ma wynajętego samochodu.

Drzwi biura zamknęły się za Corey z lekkim trzaskiem. Emily Carr spojrzała zaskoczona. - Ależ, Corey, co pani tu robi? Myślałam...

- Jestem z powrotem w domu - przerwała jej Corey. - Czy Dan jest tutaj? Maggie powiedziała mi, że jest dzisiaj w Kansas City.

Emily spojrzała na nią badawczo, nie uszły jej uwagi ciemne sińce pod oczami szefowej.

- Dan jest na konferencji - powiedziała Emily i wstała. - Corey, wygląda pani na bardzo Wyczerpaną. Dlaczego nie pójdzie pani do jego... to znaczy do pani biura, żeby trochę odpocząć. Przyniosę pani kawę. Dan na pewno wkrótce będzie.

- Ma pani rację, Emily, to jest już jego biuro - powiedziała Corey cicho. - Wcale nie chcę wracać, chcę z nim tylko porozmawiać.

Otworzyła drzwi do swojego dawnego biura. Przez chwilę stała i rozglądała się. Nie, nie żałowała, że stąd odeszła, to już nie było jej miejsce. Usiadła w dużym fotelu za biurkiem.

Usłyszała, jak w pokoju obok mocno trzasnęły drzwi, potem dotarł do niej wzburzony głos Emily. Kroki zbliżały się, najwidoczniej Emily usiłowała przeszkodzić komuś w wejściu do biura Dana.

Drzwi otworzyły się. - Proszę pana - Corey usłyszała głos Emily.

- Nie może pan tak po prostu wejść...

- Czyżby... zaraz się pani przekona, że mogę. - Drzwi zostały zatrzaśnięte przed nosem Emily.

Corey zamarła, gdy usłyszała głos Marvina. Wpatrywał się w nią lodowatym spojrzeniem.

- Marvin, co ty tu robisz? - szepnęła.

- Komiczne, że właśnie o to samo miałem ciebie zapytać. Czekałem na ciebie w stajni, a gdy nie przyszłaś, poszedłem do twojego pokoju i zastałem list do Estelli.

Spojrzała na jego rękę, w której trzymał list. - Bardzo uprzejmy list - stwierdził i przeczytał: „Muszę pilnie wrócić do domu... sprawa rodzinna...

nie chciałam nikogo budzić, dlatego biorę wynajęty samochód... dziękuję za pani uprzejmość, Corey".

Ze złością zmiął papier i rzucił go na podłogę. - Wtedy zobaczyłem, że nie ma twoich rzeczy i samochodu. Dlaczego mnie opuściłaś, Corey? - zapytał wprost.

Podniosła głowę i spojrzała w jego oczy. - Przecież mnie zwolniłeś, nie pamiętasz już? Powiedziałeś, że jestem już zdrowa, dlatego wróciłam do domu. Wystarczająco długo ci się narzucałam, to była najwyższa pora, żeby znowu wrócić do własnego życia i zostawić cię w spokoju!

Drzwi biura otworzyły się gwałtownie i wszedł Dan Taylor. Zaskoczony spojrzał na Marvina. - Marvin. Ciebie się nie spodziewałem!

- Wyjdź stąd, Dan - przerwał mu Marvin niegrzecznie. - Natychmiast. Corey i ja musimy porozmawiać!

Dan szybko chwycił jakiś, papier. - Ależ tak, naturalnie - mruknął zmieszany. - Nie chciałem przeszkadzać, chciałem tylko zabrać ten dokument. No, dobrze, idę już...

Corey wstała i podeszła do okna. Czują wzrok Marvina na swoich plecach. - Jakim cudem tak szybko przyjechałeś, Marvin? - spytała w końcu. - I skąd wiedziałeś, gdzie jestem?

- Po prostu się zastanowiłem, skarbie. I zanim wyjechałem z rancha, zadzwoniłem do Maggie. Powiedziała, że byłaś u niej i byłaś czymś strasznie zdenerwowana. Ale nie zwierzyłaś się jej, tylko zapytałaś o Dana. A Dan był w Kansas City, więc z Durango od razu przyleciałem tutaj.

- Dlaczego mnie prześladujesz, Marvin? - spytała wyczerpana.

- By zabrać cię tam, gdzie jest twoje miejsce.

- Moje miejsce jest tutaj! - odparła Corey i usiadła przy biurku. Wielkie biurko było dobrą barierą między nią a Marvinem, między jego widoczną złością a jej bezsilnością.

- Sama sobie nie wierzysz - naskoczył na nią. - Nie możesz zaprzeczyć, że pokochałaś życie na ranchu. I tam jest twoje miejsce, Corey. Poza tym nie przestałaś być moją pacjentką, niczego takiego nie powiedziałem. - Wpatrywał się w nią ze złością. - Po prostu tak sobie założyłaś. Jesteś mi jeszcze winna pokąźną sumę za moje starania, młoda damo, i ten dług teraz ściagnę!

Corey zaczerwieniła się. Szybko wyciągnęła książeczkę czekową z jednej z szuflad, sięgnęła po długopis i spojrzała na Marvina. Zmusiła się do zachowania spokoju.

- Pięknie. Jeśli mi teraz powiesz, jaka jest twoja należność, chętnie od razu ureguluję rachunek, doktorze Riordan!

Wielka dłoń wyjęła jej ołówek z ręki i rzuciła go na biurko. Gdy Corey spojrzała na Marvina, przestraszyła się wściekłości, którą zobaczyła w jego oczach.

- Obawiam się, że nie masz właściwego wyobrażenia o mojej należności, Corey. To, czego wymagam od ciebie za mój trud, będzie cię kosztować trochę więcej czasu niż podpisanie tego czeku. Mam na myśli całe życie!

Podszedł do niej powoli, wziął ją na ręce i posadził na kanapie. Gdy próbowała wstać, usiadł obok niej i przytrzymał ją. Spojrzała na niego bezsilnie. - Jak to rozumiesz? Całe życie? Marvin, przestań się mną bawić, o czym ty mówisz, to przecież nie ma sensu!

- Sens? - spytał kpiąco. - Odkąd coś, co ty robisz, ma jakikolwiek sens? Powiedziałem ci przecież w szpitalu, że w odpowiednim czasie ściągnę od ciebie zapłatę. I teraz nadszedł ten czas. To oznaczają, moje dziecko, że zostaniesz u mnie na ranchu. Na zawsze!

Przyciągnął ją do siebie, ale ona próbowała go od siebie odepchnąć. Potrząsnęła głową.

- Spójrz na mnie, Corey - rozkazał jej Marvin. - Nie wyjdę stąd bez ciebie. Zalażłaś mi za skórę, nie mogę spać, bo ciągle myślę o tobie i pragnę, żebyś leżała koło mnie!

- Nie, Marvin, to nie może tak być. To nie fair w stosunku do Rity. Nie mogę z tobą wrócić i zniszczyć wszystkiego, co jest między wami. Nie będę się wciskać między was i nie jestem też gotowa być tylko twoją kochanką! Nadal jestem panią swoich zmysłów, choć moje ciało zawodzi mnie za każdym razem, gdy mnie dotykasz. Nie chcę sprawiać bólu Ricie, była dla mnie taka miła!

- Do diabła, Corey! - krzyknął Marvin zniecierpliwiony. - Co na miłość boską ma z tym wspólnego Rita? Dlaczego ciągle o niej mówisz, za każdym razem, gdy biorę cię w ramiona? - Spojrzał na nią ze złością.

Corey westchnęła. - Jak możesz mnie prosić, bym pojechała z tobą na rancho, żyła z tobą pod jednym dachem, z tobą i z kobietą, którą poślubisz? Czy ty nie masz żadnej dumy? Ona cię kocha, a ty chcesz jej złamać serce... i mnie też! - Corey wybuchnęła płaczem.

Marvin wziął jej twarz w dłonie i zmusił ją, by na niego spojrzała. - Naturalnie, że mnie kocha. Szaleje za mną, zawsze tak było i mnie też bardzo na niej zależy. Jesteśmy przyjaciółmi od dzieciństwa. Kochamy się jak brat i siostra, Corey... jak brat i siostra!

Zauważył zmieszanie w jej wzroku i łzy, które chciała przed nim ukryć. - Dlaczego nie chcesz wrócić ze mną na rancho, skoro jesteś przecież jedyną kobietą, z którą chciałbym się ożenić... jedyną kobietą w twoim życiu, którą kiedykolwiek chciałem poślubić?

Corey oderwała się jednym ruchem od niego, nie mogła uwierzyć w to, co powiedział. Marvin westchnął głęboko i potrząsnął głową.

- Co się stało, Corey? To prawda, zupełnie inaczej wyobrażałem sobie moje oświadczenie, ale gdy tak nagle wyjechałaś, nie mogłem zrobić nic innego niż pojechać za tobą. - Zacisnął usta i patrzył przed siebie. - Może wszystko robiłem źle. Myślałem, że pragniesz mnie tak samo, jak ja ciebie.

- Jak możesz mówić, że mnie pragniesz, skoro wiem, że chcesz ożenić się z Ritą. Widziałam cię z nią wczoraj wieczorem i wszystko słyszałam! Nie jestem ślepa, Marvin - powiedziała cicho.

Zdziwiony uniósł brwi. - Wczoraj wieczorem... przecież wczoraj byłaś już w łóżku, gdy wróciłem do domu.

Gdy skinęła, uśmiech pojawił się na jego twarzy. - I naturalnie słyszałaś, jak Rita i ja rozmawialiśmy o ślubie? - Corey ponownie skinęła.

Teraz zaśmiał się głośno. - Mój Boże, i pomyślałaś, że poprosiłem Ritę o rękę! Corey, Rita i Jim czekali na mnie, by powiedzieć mi dobrą nowinę. Jim wreszcie przełamał się i poprosił ją o rękę. Ona kocha go już od lat Dlatego była na ranchu, by się nim opiekować, gdy złamał nogę. A gdy się o niego troszczyła, uświadomił sobie, jak bardzo ją kocha. Ty byłaś mi potrzebna tylko jako usprawiedliwienie obecności Rity. Ty właściwie nie potrzebowałaś opieki. Ale ja miałem też własne powody, by zabrać cię na rancho. Rita już od dawna pragnęła wyjść za Jima i osiaść z nim na ranchu ojca. Połączymy teraz oba rancho. Jim czekał na mój powrót do domu, by powiedzieć Ricie, co do niej czuje. Chciał być pewien, że ja przejmę rancho, by on mógł zapewnić Ricie taką przyszłość, jaką sobie wyobrażała.

Corey nie opierała się już, gdy wziął ją w ramiona. - Wszyscy przecież mówili, że ty i Rita... Anna mówiła, że jesteście sobie bardzo bliscy i Estella uważała, że ona będzie dobrą żoną dla Riordana... naturalnie miała na myśli Jima. Och, chyba wszystko źle zrozumiałam.

Marvin skinął, a potem przykrył jej wargi swoimi ustami. Jego ręce wśliznęły się pod jej sweter. - Corey zaczerpnęła powietrza. - Czy mówiłaś serio, że chcesz się ze mną ożenić?

Skinął, czule chwycił zębami płatek jej ucha, a Corey poczuła, jak ogarnia ją pożądanie. - Och, Marvin - szepnęła, gdy ułożył ją na kanapie i położył się koło niej. - To mi nie wystarczy... chcę więcej, proszę, Marvin.



- Mój mały wicherku - szepnął. - Zwariowałem niemal przez to twoje pragnienie niezależności, twój upór i pewność siebie. Na lotnisku zachowywałaś się, jakbyś nie potrzebowała nikogo, ale wiedziałem, że potrzebujesz silnej, choć czułej ręki, i już wtedy postanowiłem, że będziesz moja. Kochałem cię, odkąd spojrzałaś na mnie spod kapelusza tam, na lotnisku, i jeśli teraz nie wrócisz ze mną na rancho, to nie dam ci tego, co noszę w kieszeni od tej nocy w szpitalu, gdy czekałem, aż się obudzisz. - Uśmiechnął się tajemniczo przy tych słowach i obserwował ją dokładnie.

- A co to jest? - szepnęła, patrząc na niego błyszczącymi oczami.

- Zobacz. - Sięgnął do kieszeni i wyjął małe pudełeczko. W środku leżał przepiękny pierścionek z brylantem. Sięgnęła po niego, ale Marvin cofnął rękę.

- Chwileczkę, wicherku. Daj mi jakiś powód, dla którego miałbym ci dać ten pierścionek, po tym wszystkim, co przeszedłem.

- Powód jest taki, że cię kocham, Marvinie Riordan - szepnęła cicho. - Od początku wiedziałam, że moje życie ma sens tylko z tobą.

- Ze mną było tak samo - odparł Marvin. - Gdy byłem bez ciebie w obozie, nie mogłem po prostu dłużej wytrzymać, dlatego wróciłem wcześniej do domu. I gdy cię zobaczyłem w kuchni na tym krześle, najchętniej od razu bym ci zaproponował małżeństwo, ale bałem się, że cię tylko przestraszę.

- Och, Marvin... dlaczego tego wtedy nie powiedziałaś... dlaczego tak długo czekałaś... tak bardzo cię kocham...

Zamknął jej usta pocałunkiem. - Chodź, wicherku, wynieśmy się stąd wreszcie. Chciałbym się z tobą kochać w naszym domu.

Corey przyciągnęła go do siebie i pocałowała. Marvin wsunął się na nią. W tej chwili pełnej namiętności zapomnieli, gdzie są, i nie zauważyli, że drzwi otworzyły się i znowu cicho zamknęły, a Dan Taylor ostrożnie przekręcił klucz w zamku.